Stron 8 — „CHEMIA POLITYCZNA" STAREGO FRYCA. - J. S. BACH. - OBRONA KULTURY CZY BEFSZTYKU? — Cena 1 sh

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO - KULTURALNY

Rok IV. — Londyn, niedziela 3 września 1950 — Nr. 36 (167)

ROMAN BRZEZIŃSKI

LINDSEY CZY MIRABEAU?

W ROKU 1773, wkrótce po pierwszym rozbiorze Polski, pojawiła się w Londynie, osobno w języku angielskim i osobno w francuskim, nieduża książeczka, której tytuł francuski brzmi „Le Partage de la Pologne en sept dialogues, en forme de drame“ 1). Jest to śmiały, cięty, doskonale napisany pamflet na rozbiorców Polski, wymierzony przede wszystkim przeciw Fryderykowi II i cynizmowi jego metod politycznych. Natychmiast po ukazaniu się nabrał on wielkiego rozgłosu. W ciągu krótkiego czasu książeczka doczekała się — obok wydania angielskiego pt. „The Polish Partition illustrated in seven dramatick Dialogues“ — dziesięciu wydań w języku francuskim, które rozeszły się po całej Europie. Ukazało się tłumaczenie włoskie („Divisione della Polonia in sette Dialoghi a guisa di dramma“, Wenecja 1775), niemieckie („Die Theilung von Pohlen in sieben Gesprächen“, Hanau 1775), oraz holenderskie („De Verdeeling van Polen in 7 samenspraken“, Keulen 1775). Nie zabrakło i przekładu polskiego, który ma całą historię, niestety bliżej nieznaną. Ów przekład z francuskiego, zatytułowany „Podział Polski w siedmiu rozmowach“, wyszedł z druku w r. 1774, później po raz drugi w r. 1775. Na obu edycjach podano jako miejsce wydania Lipsk. — rzecz jednak charakterystyczna bez wymienienia księgarza czy drukarni. Budzi to od razu wątpliwość, czy książeczka nie została wytłoczona po prostu w Polsce, tym bardziej, że druki polskie były w tym czasie w Lipsku rzeczą rzadką. Potwierdzenie tych przypuszczeń znajdujemy na egzemplarzu Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie, gdzie — jak zaznacza Estreicher — zanotowano, iż przekład wydrukowany został w Lublinie i że „de Przybylski en est le maitre“. Nadto przy tekście pierwszej rozmowy tłumacz Przybylski poczynił liczne przypiski objaśniające.

Chodzi tu niewątpliwie o Jacka Idziego Przybylskiego (1756 — 1819), późniejszego profesora języka greckiego na wszechnicy krakowskiej, płodnego pisarza i tłumacza. Z porównania dat wynika, że przekładu „Dialogów“ dokonał on mając lat osiemnaście, co nie może zresztą szczególnie dziwić, skoro Przybylski od wczesnej młodości znał doskonale język francuski i tłumaczył z niego 2). Przekład „Dialogów“ jest sumienny i wierny; tłumacz dokładał przy tym wszelkich, aż przesadnych starań, by unikać obcych wyrażeń, choć tekst francuski mógł mu w tym kierunku nasuwać liczne sugestie.

Powód zatajenia właściwego miejsca druku jest jasny: w kraju panoszyły się garnizony zaborców, a właściwymi rządcami Polski byli wysłannicy i agenci carycy Katarzyny, którzy dopiero co — posługując się naciskiem zbrojnym — wymusili na steroryzowanym sejmie ratyfikację pierwszego rozbioru. Zwracali oni baczną uwagę na ukazujące się w kraju druki; jawne wypuszczenie spod prasy pamfletu, wymierzonego przeciw mocarstwom rozbiorowym, było w tych warunkach beznadziejnym przedsięwzięciem. Toteż należy przypuszczać, iż „lipskie“ wydanie „Dialogów“ wydrukowane zostało w ścisłej tajemnicy. Ponieważ Przybylski był wówczas młodym studentem, zachodzi możliwość, iż cała inicjatywa i wykonanie przekładu dokonane zostało przez jakąś konspiracyjną grupę młodzieży przy pomocy osób starszych. Byłaby to w naszej historii jedna z pierwszych konspiracji patriotycznych tego typu. Gdyby nie wspomniany dopisek na egzemplarzu Biblioteki Jagiellońskiej, prawdopodobnie nie znalibyśmy dzisiaj ani miejsca druku ani nazwiska tłumacza „Dialogów“. Nie trzeba dodawać, że obie ich polskie edycje stanowią wielką rzadkość bibliograficzną.

Odgłos, jaki znalazły „Dialogi“ w wielu krajach Europy, zaniepokoił, jak się zdaje, samego Fryderyka II. Umiał on i w takich sprawach działać szybko i sprężyście. W r. 1775 wychodzi drukiem w Canterbury francuski tekst „Partage de la Pologne“ z repliką, zatytułowaną: „Réfutation littéraire et politique de l'ouvrage dialogué ayant pour titre Le Partage de la Pologne“. Replika ta, mimo wszelkich wysiłków jej anonimowego autora, jest raczej słaba. Pomija najistotniejsze zarzuty, dotyczące rozbioru Polski i ogranicza się do stwierdzenia, że rozbiór ten stanowił, ściśle mówiąc, „odebranie prowincji, do których mocarstwa sprzymierzone miały prawa stwierdzone i pozytywne“. Pełna jest za to jadowitych wycieczek pod adresem autora „Dialogów“ i czołobitnych pochwał „starego Fryca“.

Czyim płodem jest owa „Réfutation“, nikt, zdaje się, nie próbował dociekać i nie byłoby to nawet rzeczą szczególnie interesującą. Bardziej zaciekawiać nas musi autorstwo samych „Dialogów“, które do tej pory z całą pewnością ustalone nie zostało i prawdopodobnie nigdy ustalone nie będzie. Jako autor figuruje na stronie tytułowej książeczki „Gottlieb Pansmouser, Neveu du Baron de ce Nom“. Początkowo przypuszczano, że pod kryptonimem tym kryje się hrabia Victor Riquetti de Mirabeau (1715 — 1789), ekonomista i pisarz francuski, ojciec słynnego mówcy z czasów Rewolucji Francuskiej i prezydenta Assemblée Nationale, Honoré Gabriela Mirabeau. Przypuszczenie to zdawał się potwierdzać fakt, że Victor Mirabeau pozostawał w korespondencji z królem Stanisławem Augustem, miał więc możność bliższego zapoznania się ze sprawami polskimi. Również autor „Réfutation“, jeśli można sądzić z aluzji rozsianych po jego replice, przypisywał napisanie „Dialogów“ starszemu Mirabeau.

Jednak w jakiś czas potem bibliotekarz Napoleona I, A. A. Barbier w jednym ze swych opracowań bibliograficznych wyraźnie autorstwo Mirabeau odrzucił, powołując się na list Fryderyka II do Woltera z dnia 26 marca 1775 r., zakomunikowany mu przez pisarza francuskiego Migera. Według Barbier „Dialogi o podziale Polski“ wyszły spod pióra Anglika, Teofila Lindseya (1723 — 1808), jednego z przywódców sekty unitariuszy (będącej kontynuacją dawnych antytrynitariuszy, w Polsce zwanych arianami) i autora licznych rozpraw religijno - polemicznych. Za Barbierem tę samą wersję powtarzają wszyscy późniejsi wybitni bibliografowie, jak Francuz J. M. Querard, Anglik William Cushing i inni. Jest jednak rzeczą osobliwą, że czołowy angielski słownik biograficzny „Dictionary of National Biography“ w obszernym życiorysie Lindseya, wymieniając jego dzieła nie podaje „Dialogów o podziale Polski“ i nie wspomina w ogóle o jakichkolwiek jego zainteresowaniach naszym krajem. W katalogu biblioteki British Museum wątpliwościom dano wyraz w sposób bardzo delikatny: książeczka figuruje pod nazwiskiem Gottlieba Pansmousera, przy którym w nawiasie zaznaczono, że jest to Theophilus Lindsey, — natomiast pod nazwiskiem Lindseya w wykazie jego książek „Dialogów“ nie ma, co więcej, wbrew przyjętemu zwyczajowi, brak nawet odpowiedniego odsyłacza. Nie dziw, że i Estreicher w swej bibliografii druków polskich nie może się powstrzymać od wyrażenia wątpliwości co do autorstwa Lindseya:

Zdawać by się mogło, że co do jednego istnieje pewność: iż autorem „Dialogów“ nie jest Mirabeau. Tymczasem nawet pod tym względem zachodzą chwiejności: Finkel w swej „Bibliografii Historii Polskiej“ (1906) wymienia jako domniemanego autora „Partage de la Pologne“ na pierwszym miejscu Lindseya, na drugim Mirabeau. Podobnie w wielkim, niedokończonym jeszcze, katalogu książek drukowanych paryskiej Bibliotèque Nationale zamieszczono wprawdzie w tomie 98 (wyd. w r. 1930) „Partage de la Pologne“ pod nazwiskiem Lindseya, ale zaraz dodano,

PAWŁOW - PROROKIEM MATERIALIZMU...

DOKTRYNA Marksa, Lenina i Stalina, ta swoista mieszanina socjalizmu i imperializmu pod patronatem ateizmu, doznała w ciągu lata r.b. pogłębienia rewolucyjnego w kierunku ostatecznego przyjęcia materializmu za dogmat podstawowy.

Połączona Sesja Akademii Nauk i Akademii Nauk Medycznych rozważała problemy nauki fizjologicznej wielkiego uczonego rosyjskiego o światowej sławie Pawłowa i powzięła szereg sięgających do podstaw życia uchwał.

Zespół uczonych sowieckich po wysłuchaniu szeregu referatów i po odbyciu długiej dyskusji orzekł, że Pawłow wynikami swoich badań stworzył nową epokę w rozwoju twórczego przyrodoznawstwa. Już swego czasu Lenin, Stalin i partia komunistyczna, oceniając właściwie wyniki badań Pawłowa otoczyli opieką pracę uczonego, a rząd sowiecki łożył duże pieniądze na powołanie instytutu badawczego im. Pawłowa.

Szeroki rozwój znalazły ideje Pawłowa o regulowaniu wszystkich życiowo ważnych funkcji organizmu przez korę wielkich półkul mózgowych. Te badania miały zasadnicze znaczenie dla rozwoju medycyny klinicznej. Patofizjologia nadrzędnej działalności nerwowej zwierząt i człowieka wykryła nowe perspektywy w zakresie objaśnienia zależności szeregu procesów patologicznych od stanu kory wielkich półkul mózgu i ustalenia roli tej kory w regeneracji nadwyrężonych funkcji organizmu. Pawłow ustalił dalej znaczenie systemu nerwowego w powstaniu, przebiegu i wyniku procesów patologicznych. Stał się odkrywcą w dziedzinie fizjologii trawienia.

Tymczasem — według uczonych sowieckich — rozwój idei Pawłowa i zastosowania ich w medycynie i biologii spotkały się z oporem proroków różnych metafizycznych, kłamliwych teorij i koncepcji, będących odblaskiem wpływów nauki reakcyjnej krajów kapitalistycznych. Szkoła akademika prof. Orbelli, który stał na czele wszystkich badań związanych z odkryciami Pawłowa i prof. Beritarzwili zniekształcili naukę Pawłowa, a prof. Speranskij dopuścił w badaniu naukowym szereg błędów. Sesja uczonych potępiła dążność do tworzenia własnych „szkół“ i „szkółek“ przez poszczególnych uczonych i nakazała kierunek wytyczny w myśl badań i wyników tych badań Pawłowa.

Obok uczonych zostały oskarżone Ministerstwa Zdrowia Publicznego i Szkół Wyższych oraz wydział nauk biologicznych Akademii. Specjalnie podkreślono winę prezydium Akademii nauk medycznych. Stąd słabe przenikanie badań Pawłowa i ich wyników do medycyny, psychologii, pedagogiki, wychowania fizycznego, weterynarii i hodowli zwierząt i bydła.

W konsekwencji sesja obu Akademij stwierdziła, że wybitne osiągnięcia naukowe Pawłowa, które ustaliły uwarunkowanie wszystkich form działalności życiowej organizmu złożonego, a w tym i **działalności psychicznej**, od warunków bytu, wysunęły ojczystą fizjologię sowiecką na miejsce naczelne w świecie. Osiągnięcia Pawłowa stworzyły podstawy naukowoprzyrodnicze do przebudowy medycyny i psychologii na zasadach naukowych, dały wiele cennego dla pedagogiki i wychowania fizycznego i mogą dać wiele cennego do nauki o języku.

Odkrycia Pawłowa — streszczamy dalej — w zakresie nadrzędnej działalności nerwowej, jako największe zdobycze współczesnej nauki o mózgu, stanowią „potężną podstawę przyrodniczo-naukową **dla materialistycznego poglądu na świat, są potężną bronią naszej walki ideologicznej z objawami idealizmu i ciemnego wstecznictwa i obskurantyzmu“ („mrakobiesija“).**

W uchwałach dalszych obie Akademie zaleciły szereg środków zaradczych w zakresie nauki szkolnictwa, podręczników, wydawnictw i życia bieżącego, praktycznego, by wpływ nauki Pawłowa objął całość życia Związku Sowieckiego.

Jak widzimy świat naukowy sowiecki dokonał dalszego pogłębienia doktrynalnych podstaw Związku Sowieckiego, tym razem bez obcej pomocy Marxa, a w oparciu o sławnego uczonego rosyjskiego. Pawłowowi, który pochodził z rodziny duchownego prawosławnego i sam ukończył seminarium duchowne, nim zaczął studia przyrodnicze, który był człowiekiem religijnym i zostawił swą ostatnią wolę, by pochowano go w obrzędzie prawosławnym na poświęconym cmentarzu — temu wielkiemu Pawłowowi ani się śniło za życia, że może się stać po śmierci niemal że prorokiem materializmu w Rosji Sowieckiej.

Z dużą bezceremonialnością dla pamięci wielkiego człowieka i uczonego, twórcy teorii „refleksów warunkowych“ i „bezwarunkowych“ u zwierząt, uczeni sowieccy wyciągnęli wnioski światopoglądowe, rozszerzając na człowieka doświadczenia z życia bezdusznych zwierząt i pozbawiając człowieka tego, czym się różni od zwierząt.

(wp.)

i to bez żadnych zastrzeżeń, że autorstwo książki, obok Lindseya, przypisywane jest także Mirabeau.

Rzecz komplikuje się jeszcze bardziej przez to, iż wedle niektórych bibliografów Lindsey względnie Mirabeau miał jakoby jakiś związek z inną jeszcze książką, wydaną również w Londynie w języku francuskim w roku 1774. Jest to znakomicie udokumentowany wywód, zbijający argumentami historycznymi i prawnymi roszczenia Prus, Rosji i Austrii do ziem polskich, zagarniętych w rozbiorze 1772 r. Pierwsza część tego dzieła pt. „Les droits des trois puissances alliées sur plusieurs provinces de la République de Pologne“, stanowi przedruk osławionych „patentów“ mocarstw rozbiorczych. Część druga, rozpoczynająca się na str. 117 tomu pierwszego i obejmująca cały tom drugi, nosi nagłówek: „Les Réflexions d'un Gentilhomme Polonois sur les lettres — Patentes et prétensions de ces trois puissances“.

Otóż niewiadomo, na jakiej podstawie niektórzy bibliografowie francuscy uważają Lindseya względnie Mirabeau za autora bądź całej książki, bądź pierwszej części „Réflexions“, zawartej w tomie I. Bibliografowie i historycy polscy są na ogół zgodni w tym, że książkę napisał Feliks Łojko (1717 — 1779), wybitny statysta i ekonomista epoki stanisławowskiej, który szczególnie zajmował się obroną praw Polski do zagrabionych ziem i ogłosił na ten temat szereg innych wywodów w języku polskim i francuskim. Wystarczy je przewertować, by się przekonać, że jest on autorem całości „Réflexions d'un Gentilhomme Polonois“ — i że ten czy ów ze znajomych cudzoziemców mógł być tylko jego doradcą lub pomocnikiem.

O ile co do autorstwa „Dialogów“ mogą jeszcze istnieć pewne, nieduże zresztą, wątpliwości, o tyle wiadoma jest dokładnie osoba ich tłumacza na język francuski, który na karcie tytułowej książki występuje również pod pseudonimem (Miladi*** Duchesse de***). Jest to Joseph Matthias Gérard de Rayneval, pochodzący z rodziny alzackiej, dyplomata francuski, który przez 5 lat przed pierwszym rozbiorem Polski był konsulem i rezydentem Francji w Gdańsku i na tym stanowisku zetknął się niewątpliwie z licznymi Polakami.

Jak się zdaje, przebywał on później przez pewien czas w Londynie; znał w każdym razie doskonale język angielski. Związki z Polską kontynuował jego syn François Maximilien (1778 — 1836), również dyplomata, który — nim został kolejno ambasadorem Francji w Berlinie, Wiedniu i Madrycie — w młodości swej poznał Polskę i poślubił córkę generała polskiego Włodka. Miał z nią córkę i czterech synów, z których najstarszy również wszedł na drogę kariery dyplomatycznej.

Wróćmy jednak do Lindseya. Według Estreichera autorstwo jego nasuwa wątpliwości także dlatego, że trudno przypuścić by znał on tak dokładnie stosunki i historię Polski. Argument to jednak zawodny, jest bowiem rzeczą prawdopodobną — choć śladów na piśmie tego nie znajdujemy —, że Lindsey stykał się osobiście z konsulem Raynevalem i z Polakami i od nich zasięgał informacyj o Polsce; Rayneval mógł mu szczególnie dużo powiedzieć o Gdańsku i zachowaniu się wojsk pruskich w obszarach, które padły później ofiarą rozbioru. Drugim, bodaj ważniejszym jeszcze źródłem informacji mogły być dla Lindseya „Letters Concerning the Present State of Poland“, wydane drukiem w Londynie w samym początku r. 1773, na kilka zapewne miesięcy przed pojawieniem się „Dialogów“. Anonimowym autorem owych „Letters“ (które w parę miesięcy później ukazały się w drugiej edycji) jest John Lind (1737 — 1781), Anglik, syn anglikańskiego pastora, który szereg lat spędził w Polsce, najpierw jako nauczyciel młodego księcia Stanisława Poniatowskiego, a później jako jeden z „guwernerów“ słynnej Szkoły Kadetów, założonej przez króla Stanisława Augusta. Jego „Letters“ oparte są prawdopodobnie w znacznej mierze na materiałach, dostarczanych przez samego króla, i zawierają szczególnie dużo danych, dotyczących polityki pruskiej i rosyjskiej wobec Polski i samego rozbioru. Bardzo szczegółowo omówione są w książce metody, jakich używał Fryderyk II dla podporządkowania sobie Gdańska przez gospodarcze jego dławienie. Możliwe jest zresztą nawet, że Lindsey zetknął się z Lindem osobiście.

Jedno nie ulega wątpliwości: „Dialogi“, jako pamflet polityczny, mają sporą wartość literacką, poza tym zadziwiają wielostronną znajomością przedmiotu i wnikliwością psychologiczną w charakterystyce występujących w nich osobistości. Na plan pierwszy wysuwa się oczywiście sylwetka „starego Fryca“ z jego „nową filozofią“, cynizmem i skąpstwem, — ale także postacie nabożnej hipokrytki Marii Teresy i Semiramidy Północy“ Katarzyny II, oraz wzajemne stosunki między trojgiem partnerów rozbioru Polski zarysowane są bystro i dowcipnie.

Autor „Dialogów“ nie pominął niemal niczego. W dialogu I daje charakterystykę filozofów pruskich (lub najmitów w służbie pruskiej), zawsze — aż po nasze czasy — gotowych do preparowania systemów i formułek, które by podpierały i wybielały politykę ich władców. W dialogu III, jednym z najbardziej dotkliwych dla Fryderyka, przedstawiona została znana sprawa puszczania przez niego w obieg — głównie w Polsce — fałszywych monet o mniejszej zawartości kruszcu. Dialog V opowiada o metodach terroru, stosowanych przez Fryderyka II wobec Gdańska, oraz o gwałtach wojsk generała Bellinga, którymi Fryderyk obsadził zachodnie terytoria Polski jeszcze przed formalnym aktem rozbioru. Mowa jest między innymi o „populacyjnej“ polityce Fryderyka, która polegała na przymusowym wywożeniu całych kontyngentów dziewcząt polskich, upatrzonych na matki przyszłych poddanych Jego Pruskiej Mości. Zmysł przewidywania przyszłości u autora znajduje wyraz m. in. w dialogu VI, gdzie jedna z przemawiających osób niedyskretnie wspomina o dalszych zakusach terytorialnych Fryderyka, sięgających nie tylko po Gdańsk i Toruń, ale także po Poznań i Warszawę. Zamysły te — jak wiadomo — urzeczywistnił dopiero jego następca w przeszło dwadzieścia lat później. W końcowym dialogu VII między partnerami zbrodniczej trójki dochodzi do ostrej scysji: obie cesarzowe zarzucają Fryderykowi, że zabrał dla siebie część najbogatszą i najlepiej zagospodarowaną.

Wiele miejsc „Partage de la Pologne“ uderza i dzisiaj swą zdumiewającą aktualnością. Czyż od r. 1939 nie jesteśmy świadkami najosobliwszych operacji z zakresu „chemii politycznej“, dokonywanych wobec Polski na modłę, zastosowaną już kilkakrotnie w końcu XVIII stulecia?

W niniejszym numerze ŻYCIA znajdą Czytelnicy pierwszy z „Dialogów“, nieznacznie tylko skróconу, w nowym przekładzie polskim; w numerze następnym ukażą się najbardziej charakterystyczne urywki innych dialogów. Z wyjątkiem paru wyrazów nie archaizowałem języka, nie byłoby to bowiem właściwe w tym wypadku. Autor dialogów przy określaniu osób w nich przemawiających używa skrótów, które zachowane zostały i w przekładzie polskim. Król Stanisław August oznaczony jest więc skrótem **Kr. Pol.**, Fryderyk II skrótem **Kr. Pr.**, Katarzyna — **Ces. Ros.**, Maria Teresa — **Ces. Węg.** Ostatni z tych skrótów może wydawać się nieco dziwny; w spisie osób, występujących w „Dialogach“, Maria Teresa figuruje jako „Cesarzowa-Królowa Węgier“ niewątpliwie dlatego, że roszczenia do posiadłości polskich zgłosiła głównie na zasadzie historycznych jakoby „uprawnień“ korony węgierskiej.

Roman Brzeziński

---

1) Jako drukarz i księgarz podany jest P. Elsmly na Strandzie, naprzeciw Southampton Street.

2) Estreicher w swej bibliografii notuje dokonany przez Przybylskiego przekład z francuskiego „Trzech mów o religii“, wydany w r. 1779.

THEOPHILUS LINDSEY (1723—1808)

DIALOG PIERWSZY

»CHEMIA POLITYCZNA« STAREGO FRYCA

Kr. Pr. No i cóż, Miłościwe Panie, kto nam napisze manifest, który by w oczach publiczności ubarwił pozorami słuszności postępowanie, zgoła nie respektujące tego, co ludzie nazywają sprawiedliwością?

Taki manifest — niechże się Panie nie śmieją, gdyż materia jest bardzo poważna — taki manifest, mówię, nie jest wcale sprawą tak łatwą, jak Panie sobie wyobrażają. Wymaga on geniuszu wynalazczego. Tylko radykalna operacja z dziedziny chemii politycznej może doprowadzić do usunięcia sprzeczności. Wielce byłaby tu przydatna owa sztuka magiczna, przez którą optyk, posługując się zmianą kolorów, omamia oczy i wywołuje halucynacje.

Nie sądzę, by świat (jakkolwiek daleko postąpił w tym złotym wieku filozofii i wolności) był już dostatecznie doskonały, aby z odrobiną choćby cierpliwości słuchać szczerego i pełnego wykładu zasad, jakimi się kierujemy, celów, które sobie wyznaczamy. Prawda to, że cnota jest dla królów już tylko staroświeckim przywidzeniem, które wkrótce i tak zupełnie zniknie. Lud jednak trzyma się jeszcze resztek przesądów i nie udało się jeszcze znieść całkowicie zwyczaju składania słabych choćby hołdów tej starożytnej bogini, która dawno już temu zagubiła swą wagę i ciężarki. W postępowaniu naszym nie stosowaliśmy wielkich wybiegów, — tutaj jednak potrzeba jest roztropności i zręczności; przedstawiając nasze pryncypia wskazane jest nawet pozostawić aurę pewnych wątpliwości. Nie należy w sztuce naszej zaniechać stosowania takich dawnych określeń jak *sprawiedliwość*, *wolność*, *ludzkość*, *patriotyzm*, choć te wyimaginowane jestestwa powinny grać nieme tylko role w tragikomedii, jaką damy publiczności.

Mówiąc prosto z mostu, manifest ten wymaga talentów rzedko spotykanych — i oto nie znam pisarza dostatecznie sprawnego, by go sporządził.

Kr. Pol. (za zasłoną). Wielki Boże! Jakiż to projekt rozważa ten człowiek i te dwie kobiety? Jakim sposobem znaleźli się wszyscy razem? — Doprawdy, jest to spotkanie mocno osobliwe! Oto mieszanina sympatii i antypatii, która łatwo spowodować by mogła *niespodziankę*, gdybyśmy nie dożyli czasów, w których nic już dla nas nie powinno być niespodziane.

Cóż za chciwość w ich oczach! Czyż nie robią wrażenia szajki złodziei?

Ces Ros. Jakże to? Czyżby Waszej Królewskiej Mości zbywało na pretekstach dla ukoloryzowania naszych roszczeń i postępków — i na piórach, by nadać im wagę? Czyż Berlin nie jest ośrodkiem *nowej* filozofii? Czy Pańska akademia nie posiada zręcznych sofistów, którzy siłą pisemnych wywodów potrafią ludzi przyciągać do swych prycypiów? My za to, by zmusić ludzi do służenia naszym interesom, używamy siły zbrojnej.

Kr. Pol (za zasłoną). Czy naprawdę słyszę Katarzynę, przemawiającą językiem Izabelli? Na Boga, to rzeczywiście ona!

Kr. Pr. Ach, Miłościwa Pani, Berlin nie jest już tym, czym był jeszcze kilka lat temu. Nie ma już żadnego z mych geniuszów, mych filozofów. Zabrała ich śmierć, głód lub wojny; inni, którym aura dworska szkodziła na zdrowie, lub może i na umysł, przenieśli się za granicę. Maupertis nie jest już prezydentem akademii. Byłby on nam wielką pomocą w tej potrzebie. Tak dobrze potrafił podtrzymywać paradoksy! Przy pomocy opium rozpoczął doświadczenia nad naturą duszy[1]. Mogłoby mu to posłużyć do wymyślenia nowego systemu *rzeczy sprawiedliwych i niesprawiedliwych*, który bardzo by się nam przydał. Biedny chłop zapadł jednak poważnie w Bazylei i umarł tam po chrześcijańsku — to znaczy (wszak rozumiecie mnie dobrze) *wyzionął ducha w swej szlafmycy...*

Wolf, którego filozofia obejmuje w swych tomiskach tyle rzeczy, a wyjaśnia tak niewiele, który przybiera w postać geometryczną zarówno najwznioślejsze wskazania obowiązku moralnego, jak i najniższe i najwstrętniejsze funkcje naturalne[2], — ów Wolf spłodziłby kolekcję pięćdziesięciu tysięcy najrozmaitszych stwierdzeń, by przekonać Polaków, że *wszystko jest w porządku...* Z tego woluminiastego filozofa zrobiłem barona; nie masz go już jednak, stał się *monadą*[3].

Ces. Węg. do Ces. Ros. (po cichu). Co on mówi? Moja Siostro moskiewska, wytłumacz mi coś niecoś, co to jest *monada*.

Ces Ros. Prawdę mówiąc, Siostro, sama nie wiem. Nie mamy tych rzeczy w Petersburgu, albo mnie przynajmniej o tym niewiadomo.

Kr. Pr. Wierzę Miłościwej Pani — to subtelne dla Waszego klimatu. Poza tym monady nie są ani materią ani duchem, nie mają rozciągłości i nie mogą się dzielić — dlatego nie sądzę, by Pani mogła się o nie troszczyć... Zostawmy jednak na boku te drobiazgi. Cóż więc wyszukamy dla naszego manifestu?

Ces. Ros. Gdyby pan znał markiza d'Argens, albo hrabiego Algarotti...

Kr. Pr. Niestety, zstąpili oni w nicość, lub, co wychodzi na jedno, zespoli się znów z *substancją wszechświata.* Trąba rozgłosu dydała ich czci kilka dźwięków — czyż jednak popioły mogą to odczuć? Nie zatrzymujmy się dłużej przy tej refleksji; nadchodzi w życiu okres, kiedy nie jest ona przyjemna... Poza tym, gdyby ci wielcy geniusze żyli jeszcze, nie stanowiliby dla nas wielkiej pomocy; zanadto przepojeni byli tymi starymi pojęciami honoru, uczciwości, przyzwoitości, które w tym wypadku przytłumiłyby ich wymowę i subtelność ich umysłów... Miłościwa Pani zapomina — a Miłościwa Pani pragnie zapomnieć, — że projekt nasz jest całkowicie *nowy*, że nie było nigdy niczego podobnego w naszej części świata, wśród narodów cywilizowanych, ani między książętami, uznanymi za takich.

Aleksander, kiedy zagarnął dzierżawy Porusa, Pompejusz i Cezar, gdy detronizowali królów Azji, pokrywali swe rozboje pozorami godności, której w naszym postępowaniu śladu nie ma. Dla łatwiejszego dokorzania swych zamysłów nie sięgali oni do takich środków, jak zapewnienia przyjaźni, dobrych i serdecznych usług, — zapewnienia, które w istocie rzeczy były tylko pułapkami. Nie zawierali też uroczystych traktatów, przez które wyrzekali się swych zamiarów — w chwili, gdy właśnie mieli przystąpić do ich wykonania. A przecież Aleksander, Pompejusz i Cezar uważani byli przez całą potomność za plagi rodzaju ludzkiego.

Nie ma więc możności — jeśli chodzi o usprawiedliwienie nas — użycia starych zasad słuszności i sprawiedliwości, rozsianych w pismach Algarottiego, choć skąd inąd był to mąż dobrego smaku, bardzo oświecony i wielkich zasług.

Ces. Ros. Wolter jeszcze żyje...

—*Kr. Pr.* Owszem, ale nie będzie z niego dla nas pożytku. Zrobiłby z naszym manifestem to samo, co z Waszej Cesarskiej Mości historią Rosji; przytrafiłoby mu się, jak to jest jego zwyczajem, nakłaść tam fałszywych cytat, przez co bylibyśmy się narazili na wrzaski krytyków i szemrania Polaków.

Czego nam potrzeba, to pewnej liczby mało jasnych ustępów, wyrwanych z najciemniejszych zabytków przeszłości, które byśmy naszpikowali niektórymi maksymami *nowej filozofii.* Najlepszą przysługę Wolter mógłby nam oddać przez swój talent do żartów i kpiarstwa. Rozweseliłby swymi konceptami posępne nastroje widzów, oburzonych tak osobliwym widowiskiem. Bardzo mi bowiem przypadła do smaku opinia pewnego angielskiego filozofa[4], który wyraził się, że *śmieszność jest kamieniem probierczym prawdy* i że ta sprawa odnosi tryumf wśród najzdrowszej części społeczeństwa, która ma żartownisiów po swojej stronie.

Ale Wolter dziś potrafi śmiać się już tylko na poły, a śmiechy, które wywołuje, są w mniejszym stopniu wynikiem tego, co powiedział, niż wyrazem uznania publiczności za to, że ją rozśmieszał poprzednimi czasy... Nużyć już muszą jego powtarzane tak często kpinki z żydów, mnichów, Opatrzności i innych rzeczy. Zresztą pyszałek ten przyswoił sobie od pewnego czasu sentymenty ludzkości i współczucia, które by go napewno pohamowały, gdyby zechciał usprawiedliwiać podział królestwa brata naszego Poniatowskiego.

Obie królowe (razem). Czyż więc ten podział jest tak straszliwą zbrodnią?

Kr. Pr. Tak i nie — to zależy od sposobu patrzenia na sprawę. Tak, jeśli się ją osądza według starych pojęć, — nie, jeśli się na nią spoziera przez teleskop nowej filozofii.

Obie królowe. Zechce nam Wasza Królewska Mość łaskawie wy-

---

1) Szaleństwo Maupertuisa widocznie jest w różnych miejscach jego dzieł. Całkiem poważnie proponował on akademii berlińskiej podjęcie doświadczeń nad duszą przy pomocy opium (Przyp. aut.)

2) Patrz rozdział *de officio et modo exonerandi ventrem* w traktacie, który nosi tytuł „*Oeconomica*„ (Przyp. aut.).

3) W filozofii Leibnitza i Wolfa monady są elementami wszystkich jestestw (Przyp. aut.).

4) Mowa tu o mądrym i wytwornym hrabim Shaftesbury, który z pewnością nie przewidywał, że taki się zrobi użytek z jego maksym (Przyp. aut.).

jaśnić to bardziej szczegółowo. *(Na stronie)* Cóż z niego za osobliwy człowiek!

Kr. Pr. Wydaje mi się, Wasze Cesarskie Dostojności, że straciły Panie z oczu sedno sprawy. Chodzi o to, by zabrać co do nas nie należy, zabrać przemocą, a przecież zachować pozory słuszności, uzyskując od widma Sejmu narodowego orzeczenie po naszej myśli. Potrafimy zadecydować o wyniku głosowania, obsadzając Sejm ludźmi uzbrojonymi i grożąc tym, którzy się tam będą znajdowali, wygłodzeniem, więzieniem, a jeśli zajdzie potrzeba nawet śmiercią.

Powiedziałem już Łaskawym Paniom, że projekt nasz jest całkiem nowy. Ponieważ jednak jest on dla nas bardzo korzystny i ponieważ cała ma moralność ogranicza się do *mego własnego interesu*, jestem bardzo zadowolony z tego, co mamy wykonać. Przyznaję, że jeśli zwrócimy się do starych pojęć, zamysły nasze okażą się niesprawiedliwe, tyrańskie, barbarzyńskie i obmierzłe; przyznaję także, że nie łatwo te pojęcia usunąć. Nawet ja sam, choć od dawna się już od nich uwolniłem, czuję jeszcze niekiedy ukłucia w tym przewrażliwionym włóknie, na które często oddziaływała moja mamka i mój kapelan i któremu dali nazwę *sumienia*. Jednak zażywszy dozę nowej filozofii, zgodnie z receptami Dawida Hume'a, Helwecjusza i Diderota, potrafię spazm ten opanować...

Na pierwszy rzut oka trudno o coś bardziej oburzającego, niż pozbawienie jednego z suwerenów części jego posiadłości bez żadnego pretekstu prócz paru wątpliwych wyrażeń, zawartych w starych pergaminach, — i niż pretensje, z których się zrezygnowało w traktatach jak najbardziej uroczystych, najdokładniejszych i najnowszych.

Pogarda dla tego, co fanatycy nazywają *niebem*, dla sprawiedliwości tego wyimaginowanego jestestwa, którego śmiretelni nie przestali czcić w mniejszym lub większym stopniu, wreszcie dla uczuć, których moc ogół ludzi zawsze odczuwał i uznawał, — ta pogarda, mówię, jest o tyle bardziej rewoltująca, że wszyscy troje zadeklarowaliśmy niedawno, iż nie mamy żadnych roszczeń do posiadłości brata naszego Poniatowskiego, ani żadnych zamiarów zawładnięcia najmniejszą choćby cząstką jego dzierżaw...

. . . . .

(Ukrytymi schodami wchodzi paż)

Paż. Miłościwy Panie, jest ktoś, kto pragnie mieć posłuchanie u Waszej Królewskiej Mości.

Kr. Pr. Któż to jest? Czyżby to był geograf ze swą nową mapą? To biedny człowiek, nie lubię go; ma sumienie tak bojaźliwe, że wszędzie upatruje trudności. Tego bydlątka nie można przekonać, że spełnia tylko czynności *geografa*, a nie *teologa*.

Paż. Raczy Miłościwy Pan wybaczyć, to nie geograf — to stary Efraim, baron de Joppè, pragnie mówić z Waszą Królewską Mością.

Kr. Pr. Raczą Miłościwe Panie pozwolić... Efraim nie przychodzi na próżno. Chodzi tu o pieniądze, a pieniądze są podstawą negocjacyj, podobnie jak są nerwem wojny.

Pani, moja Siostro rosyjska, posiada przedziwną tajemnicę wydostawania pieniędzy. Powiadają, że Wasza Cesarska Mość posługuje się różdżką czarnoksięską; nikt nic z tego nie rozumie. Chce się prawie wierzyć, że odkryła Pani kamień filozoficzny. Co do mnie, muszę się uciekać do odpowiednich sposobów. Moim kamieniem filozoficznym jest Efraim. Pewne jest, że ten znakomity izraelita ma cudowny talent do obrzezywania i trudności i dukatów. Między innymi wynalazł on sposób na to, by ten sam dukat wydawał się mieć wartość *podwójną*, gdy ja płacę, a *pojedyńczą*, kiedy przyjmuję zapłatę. Byłby on doskonałym podskarbim, gdyby od czasu do czasu nie hamowały go skrupuły... Lecz on czeka — być może czas jego jest drogi... Raczą Miłościwe Panie pozwolić, za chwilę powrócę.

. . . . .

Dialog drugi wypełnia rozmowa dwóch cesarzowych, toczona pod nieobecność Fryderyka. Katarzyna stwierdza, że ma dostateczne wykształcenie filozoficzne, by być wyższa ponad wyrzuty sumienia. Niewiele jest tylko rzeczy, które mogłyby ją przyprawić o rumieniec. Ma jednak namiętność sławy; niepodobna zaś okryć się sławą bez pewnych choćby pozorów cnoty i szlachetności, albo przynajmniej bez równego i konsekwentnego zachowywania się. Kłóci się z tym wszakże jej obecne postępowanie wobec Polski, której przyjaciółką i protektorką dotąd się mieniła. Stąd niepokój, jaki ją ogarnia.

Jej habsburska partnerka wyznaje, że do wyrażenia zgody na rozbiór Polski nie potrzeba jej wcale nowej filozofii Fryderyka. Wystarczy do tego doktryna „prawdopodobieństwa", której nauczył jej jeden z jezuitów, a która ma wiele wspólnego z nowoczesnym sceptycyzmem. Herezja polskich dysydentów, wątpliwa prawowierność religijna króla Stanisława Augusta, bliskość Krakowa od austriackich posiadłości cesarzowej — wszystko to daje jej prawa więcej niż „prawdopodobne" do obszarów, jakie mają jej przypaść w udziale.

KAMILA LELIWA

Z KOBIECYCH OBOZÓW W ROSJI*)

RÓWNOCZEŚNIE z naszą rewizją z obozu męskiego zaczęły wychodzić oddziały ósemkami. Wywożono nas, napewno, tylko nie mogłyśmy zrozumieć jak jedno z drugim połączyć, skoro nie dawniej jak wczoraj mężczyźni przekazali nam wiadomość jakąś tajemniczą drogą uzyskaną, że porozumienie sowiecko-polskie doszło już do skutku i nie długo wszyscy zostaniemy zwolnieni. Nie... coś nie było w porządku...

Polacy szli jednym ciągiem od rana do wieczora. Dopiero teraz zobaczyłyśmy, ilu ich było! ale wtenczas tylko część wyjechała z nami.

Popołudniu nas wzięto. Rzeczy załadowano na wozy, by pochodu nie utrudniały, nas spędzono razem, 136 kobiet, w tym tylko pięć Polek, jedna Ukrainka ze Lwowa, kilka Rosjanek politycznych, reszta...

Co Rosja miała „najlepszego" w dziedzinie złodziejstwa, prostytucji, morderstwa, czego nie mogła już znieść u siebie, wysyłała na Kołymę. Szałman.

Szałamn! Element, jakiego opisać nie można, bo brak określenia w języku europejskim. Element, jaki nigdzie w żadnym kraju chyba nie istnieje, bo w żadnym nie było takiej rewolucji, której szałman jest wytworem i to wytworem zupełnie specjalnym.

Jaki jest źródłosłów szałmanu, nie wiem i nikt nie umiał mi tego powiedzieć. Wiadomo tylko, że szałman wywodzi się w przeważnej części z „bezprizornych", że jest to jakby pewnego rodzaju zgromadzenie, całość czegoś, co związane jest silnymi ogniwami konfraternii przestępstwa.

To jedna ciągnąca się zbrodnia i stała pogoń za użyciem najniższego gatunku. To materiał dla najpodlejszej pornografii i złej imitacji Grand Guignol'u. Najostatniejsza rozpusta i sadystyczne okrucieństwo. Ucieleśnienie czorcich zalet i wad czorcich. Życie bez hamulców. Gromada opętanych kobiet, których boją się mężczyźni, tak więźniowie jak i strażnicy.

W tej to kompanii wieziono nas na Kołymę wtenczas, gdy umowa w Moskwie była już podpisana i braterstwo zapewnione...

Szłyśmy luźnymi grupami w stronę portu. Potem kazano nam się zatrzymać, czekać, gdyż wpierw mężczyzn ładowano.

Mrok zapadał i szałman czekając, rozniecił ognisko. Dla nich wyjazd na Kołymę nie miał żadnego znaczenia. Czy tu, czy tam, wszędzie jest łagier, a podróż tylko rozrywkę jakąś przyniesie. Bo czym jest życie? ciągłą walką na pięści, by uniknąć ciężkiej pracy, by zdobyć jedzenie, by nareszcie najeść się do syta! by użyć! Dać upust wszystkim organom. A radość? wykłóć oko znienawidzonej sąsiadce, opalić jej twarz, rozerwać ucho, zatopić nóż w czyimś ciele, wyrzucić z siebie całą złość w słowach najbrudniejszych, jakie tylko ludzki język może posiadać. Miłość? nie ma miłości, jest tylko funkcjonowanie gruczołów. Zwierzęce, instynktowne — którego zdrowy napęd zniweczyło rozbestwione wyuzdanie. I wszędzie, gdzie tylko można, jeśli tylko przydarzy się okazja, wyładować z siebie te moce, które szarpią człowiekiem, spokoju mu nie dają ani chwili — moce złości, moce zepsucia.

Rozniecily więc ogień i zaczęły tańczyć. Reszta siedziała wokoło przyklaskując do taktu wyśpiewywanej ochrypłymi głosami melodii.

Mrok zapadał szafirowy. Widziałam więc tylko ogień, w którego świetle migały krępe sylwetki niezgrabnych kobiet. Jak twory jakieś wyszłe z ziemi na godzinę sabatu. Szarawary nisko nad kostką w buty wpuszczone, na to spódnica obcisła, jakiś przykrótki stanik, chustka nad jednym okiem zawiązana, cygaretka w zębach. Szałmanki!

Nie przypuszczałam, że kiedyś w życiu zobaczę coś równie dzikiego, zmysłowego, potwornego i bezwstydnego. Piekielna sarabanda miała zapewne więcej wstydu i estetyki, gdyż w ruchach nie wyrażałaby tego, co tu ujrzałam.

Huha, huha! Huha, huha-ha-ha! — rozlegało się tylko wraz z coraz szybszym poklaskiwaniem. Ogień migotał, jak złe duchy czerwieniały i czerniły się w jego świetle kobiety. Nagie piersi, to spódnice zadarte w górę, to opuszczone spodnie...

Mołojcy stali opodal i rechotali, a Polaków wciąż ładowano i ładowano...

* * *

...plecami oparłam się o ścianę i waliłam. Głosy z cichych, stały się teraz huczące, zajadłe. Było ich dużo, coraz więcej. Naraz czyjeś potwornie twarde łapy oderwały mnie od ściany, przyciągnęły, dostałam pięścią w zęby, głową w tył poleciałam. Upadłam na drzwi, drzwi sobą otworzyłam i razem z drzwiami — na komendanta.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, w tym momencie koło drzwi przechodził.

Podniesiono mnie. Byłam skrwawiona, poszarpana, ale rzeczy miałam na sobie. I to najważniejsze — nie dałam się. To był największy triumf nad szałmanem.

— Czekaj pani, chodź pani tu! — ktoś wołał do mnie po polsku. Miał akcent Żydów z Małopolski Wschodniej.

Zaprowadził do ambulatorium obok. Opatrzono mi twarz podrapaną, przemyto rozcięcia na czole, ustach. Nic poważnego. Dwa zęby tylko były pęknięte, ale trzymały się dobrze. (Jeden do dziś dnia się trzyma.)

— Kto pan jest? — zapytałam.

— Kto mam być? — odpowiedział — Swój. Lekpomem*) tu jestem

— Pan tutejszy?

— Gdzie tutejszy, aptekarz z Truskawca.

— Aptekarz z Truskawca? — zdziwiłam się.

— Niby pomocnik aptekarza. Ale ja w aptece pracował.

— Jak dostał się pan do ambulatorium?

— Jak ja się nie miał dostać? Lekarz też Żyd, to zaraz mnie wyciągnął z triumu**) No, lepiej pani? ale panią umieścili! W takim g... za przeproszeniem pani... Takie polskie kubite... Joj, co za czasy!

Dał mi wody i obiecał, że ile razy będę czegoś potrzebowała, to mam wołać. On przyjdzie. Jest tuż obok.

Bałam się wracać do triumu, ale komendant głośno szałmanowi zagroził, że za tę Polkę one odpowiadają! Mam wrażenie, że był to pierwszy przejaw umowy polsko-sowieckiej.

Wszystkiego byłabym się spodziewała, ale nie tego, że zajęła się mną wtenczas owa mamasza, którą zwano Lola-Loleczka.

Nakrzyczała na szałman, powiedziała kilka słów o bezlitosnych kobietach, które znęcają się nad biedną, wywożoną Polką, zabrała mnie na swoje legowisko na narach, nakarmiła czajem (pojęcia nie mam, skąd baba czaj miała) Powiedziała, że jest Polką rodem z Lublina, po polsku coprawda mówiła koszlawo, ale mówiła. Do Rosji wyjechała w 1915 roku, gdy armia rosyjska cofała się z polskich terenów. I już została.

Byłam bardzo zmęczona. Statek się kołysał, znów chorowały... ktoś wołał o wodę... ktoś na kogoś krzyczał i klął za zbrudzone rzeczy, a „bojcy" za przepierzeniem rozhulali się teraz na dobre.

Odchodził trepak aż dudniło i uha! dzikie mocne, gardlane, bez dźwięku. Dreszcz przenikał. „Czyt, czyt, czyt..." odpowiadały szałmanki do taktu przyklaskując.

Kamila Leliwa

* Patrz ŻYCIE nr. 35, (166) tej samej autorki „Trzy fragmenty". Są to wyjątki z niewydanej książki o katordze kobiet w sowieckich łagrach.

*) *Lekpom — pomocnik lekarza.*
**) *Miejsce załadowania pod pokładem.*

WYDAWNICTWA

X. Arcybiskup Romuald Jałbrzykowski: — W górę serca. Nakładem autora. Niepokalanów. 1947. Stron 158. **Cena 3/8 sh.**

Wypędzony z Wilna, swej stolicy arcybiskupiej, dostojny autor w tym dziełku wzywa Polaków do radości i pogody. „Nie poddawać się przygnębieniu i zniechęceniu" — oto tytuł tej książki, która czytelnikowi daje znacznie więcej niż tylko tę radę. W oparciu bowiem o Pismo św., autorów ascetycznych, świętych, wielkich mężów ludzkości, liturgię, sztukę, przyrodę, etc. X. Arcybiskup uzasadnia wrodzone człowiekowi dążenie do szczęścia, używania pokoju i zadowolenia wewnętrznego. Jest to rzecz napisana na cześć radości i pogody duchowej. Cel autora jest nawskroś praktyczny, a nie teoretyczny. Nie tylko podaje określenia i definicje, ale sugestywne przykłady i rozumne rady, jak zdobyć tak potrzebną, zwłaszcza Polakom — radość, mimo wszystkiego, co nas spotkało i spotka. Książka warta przeczytania i przeżycia.

X. Józef Schrijvers C. S. S. R.: — Moja Matka. Wydawnictwo Milicji Niepokalanej. Niepokalanów, 1947. Stron 95. **Cena 2/2 sh.** 9 całostronnicowych reprodukcji obrazów maryjnych.

Książka napisana z miłości dla Matki Boga i Matki wszystkich ludzi i ucząca nas miłości dla Niej. Bardzo aktualna zwłaszcza w tym roku, w którym zostanie ogłoszony dogmat o Wniebowzięciu cielesnym Marii. W 9 rozdziałach autor tego dziełka, tłumaczonego na liczne języki, wprowadza nas żarliwie w zagadnienie macierzyństwa Marii i wzrostu naszej duszy w N. Pannie.

Jan Archita: — O chrześcijańską kulturę życia. Niepokalanów, 1948. Stron 128. **Cena 2/3 sh.**

Są to rozważania na tle tajemnic najłatwiejszej, najpopularniejszej ale też może jednej z najtrudniejszych modlitw: różańca. 15 tajemnic radosnych i chwalebnych dają autorowi sposobność do snucia bardzo żywo pisanych refleksyj i uwag o całości życia chrześcijańskiego, o znaczeniu modlitwy i rozmyślania, o połączeniu życia wewnętrznego z działaniem w świecie. Istotę różańca stanowi rozmyślanie i modlitwa ustna, zespolenie rozmyślania z modlitwą ustną. Tajemnicą różańca jest miłość, która nigdy nie nuży się w powtarzaniu tych samych słów płynących z głębin serca i za każdym razem potrafi w te same słowa włożyć drgającą prawdą przeżycia treść. Wynikiem różańca zaś dobrze przemyślanego i właściwie przemodlonego jest przemiana życia własnego i życia swego otoczenia.

W. Ładzina: Wielka Królowa Polski. Paryż 1950. Stron125. Liczne ilustracje. **Cena 5 sh.**

Jest to szereg wielkim sercem napisanych obrazków z życia królowej Jadwigi, której wyniesienia na ołtarze oczekują Polacy na całym świecie. Do tej książki przedmowę napisał metropolita krakowsik X. kard. A. Sapieha błogosławiąc autorce i życząc, by jej książka rozeszła się „jak najszerzej i zyskiwała gorących czcicieli naszej ukochanej królowej".

Stefania Dąbrowska: Wanda Malczewska. Wyd. Mildner & Sons. Stron 20. **Cena 3 d.**

Wśród świetlanych, Bożych postaci polskich XIX wieku Wanda Malczewska, zmarła w opinii świętości w r. 1896, prorokini zmartwychwstania Polski i Cudu nad Wisłą, jest jedną z największych. Z broszurki poznajemy jej proste, głęboko chrześcijańskie życie.

Krótki życiorys O. Maksymiliana Kolbe, Franciszkanina, zamęczonego w Oświęcimiu. Stron 32. **Cena 3 d.**

Kogo nie stać na kupno książki Dobraczyńskiego „Skąpiec Boży" (cena 1/10 sh.) lub „Dwu koron" Morcinka (cena 3/2 sh.) powinien przeczytać przynajmniej ten krótki życiorys męczennika O. Kolbe, chluby zasłużonego dla Polski i Kościoła zakonu Franciszkanów.

X. W. Michułka: Ksiądz Bronisław Markiewicz. Stron 115. Cena 1 sh.

Jest to życiorys — skrót większej pracy — założyciela Tow. św. Michała Archanioła i Zakładów Sierocych w Polsce, wielkiego kapłana, zmarłego w r. 1912 w opinii świętości.

Wszystkie powyższe wydawnictwa dostarcza — za zaliczeniem 6 pensów do ceny każdej książki za porto: **Veritas F. P. C. 12, Praed Mews, London W. 2.**

MANFRED WOLF

Z upoważnienia autora przeł. JAN TOKARSKI

JAN SEBASTIAN BACH

MÓWI się, że artysta w daleko większej mierze zależy od środowiska, niż zwykły człowiek; obdarzony bowiem znacznie żywszą potęgą odczuwania, potrafi wykorzystać wpływy otoczenia jako bodźce dla swej sztuki. To też nie tylko wewnętrzne ale i zewnętrzne życie artysty jest przedmiotem zainteresowania zarówno badaczy jak i konsumentów jego twórczości. Od jego życia i otoczenia oczekujemy kongenialności z dziełem. — Życie na miarę sztuki, sztuka na miarę życia.

Jeśli to jest prawdą, jeśli by to miało być regułą, wtedy nie było jeszcze w dziejach kontrastu tak absolutnego, jak pomiędzy Bachem — artystą a Bachem — ‚człowiekiem'. To dwaj tak całkowicie różni ludzie, że nie łączy ich nic oprócz nazwiska. Wydaje się, że osobowość artystyczna twórcy „Mszy H-moll" istnieje niezależnie od jego życiowych losów, i to tak dalece, że gdyby nawet drogi jego kariery miały zupełnie inny przebieg, dzieło jego pozostałoby to samo. Znajomość tego życia w niczem nie pomnaża naszej wiedzy o jego sztuce, tak jak nieznajomość życiorysu nie jest najmniejszą zaporą w chłonięciu jej całą duszą.

Jednakowoż, ponieważ taka była prośba redakcji ŻYCIA, zanim przystąpię (z opóźnieniem, za które Czytelników przepraszam) do przedstawienia jego sztuki, poprzedzam je życiorysem twórcy, którego nazwisko (Bach=strumień) i koleje życia tak nie pasują do gigantycznego dzieła. To, co powiedziane wyżej, nie zwalnia nas jednak od poznania całej jego osobowości, pomimo jaskrawej przepaści między artystą a człowiekiem. Albowiem tym słowem „Bach" oznaczamy nie tylko największego kompozytora wszystkich czasów — ale także najbardziej przeciętnego „bourgeois" końca XVII i połowy XVIII wieku, który niezwykle gorliwie zabiega o łaski możnych tego świata i jest równocześnie uwikłany w niekończące się starcia i spory z gminami miast, w których mieszkał i tworzył.

Przyszedł na świat 21 marca 1685 roku w Turyngii, w Eisenach, rodzinnym miasteczku Lutra, którego czcił i wyznawał. Jego silnie rozrodzona rodzina była szeroko znana w Turyngii i Frankonii; od początku XVI stulecia byli to prawie wyłącznie muzycy. Niektórzy jej członkowie zażywali niemałej sławy jako wybitni twórcy instrumentów, kantorzy, instrumentaliści, a przede wszystkim organiści, tak, że w pewnych okolicach Niemiec zamiast nazwy ‚organiści' używano po prostu określenia: die Bäche, bachowie. W owych czasach wciąż jeszcze uczono sztuki jak każdego innego rzemiosła; od dziecka wzrastało się w atmosferze przyswajania sobie jej tajemnic, które przechodziły z ojców na synów.

Kiedy Jan Sebastian miał 9 lat, stracił matkę. W następnym roku zmarł mu ojciec. Opiekę nad nim przejął najstarszy brat, żonaty i mający własne dzieci, Jan Krzysztof. Ponieważ był to Bach, miał nie tylko dwa imiona, ale był muzykiem; studiował przez pewien czas u sławnego organisty i kompozytora Pachelbela. Obecnie zajmował stanowisko organisty w innym małym miasteczku Turyngii, w Ohrdruf. Tutaj to Jan Sebastian chodził do miejscowej szkoły, a brat udzielał mu lekcyj muzyki. Wydaje się jednak, że traktował go bez miłości; być może, kierowała nim zazdrość na widok niezwykle zapowiadającego się talentu chłopca, podobno nie pozwalał mu nawet dotknąć kościelnych organów. Z tego czasu zachowała się owa słynna anegdota (a może i fakt?), która rzuca światło na stosunek Jana Krzysztofa do Jana Sebastiana i świadczy raz jeszcze, iż popularne zdanie, że muzyka rzekomo uszlachetnia, jest tylko pobożną legendą.

Jan Sebastian zapragnął skopiować sobie dzieła Pachelbela, Kerlla Frohbergera i innych mistrzów, które brat trzymał jak skarb w szafie za okratowanymi drzwiami. Ale Jan Krzysztof odmówił raz na zawsze. Zabronił mu także palenie świecy. Wtedy Sebastian któregoś wieczoru wykradł nuty i zabrał się do przepisywania przy świetle księżyca. Nad ranem odniósł je na swoje miejsce. I tak trwało przez wiele nocy. Nieszczęście jednak chciało, że kiedyś Jan Krzysztof przydybał chłopca właśnie, gdy kończył przepisywanie. Nie pomogły łzy i prośby, Krzysztof wyrwał mu rękopis spisywany w takim trudzie i na jego oczach podarł w strzępy.

Nic dziwnego, że Sebastian z całego serca pragnął wyrwać się od braterstwa, którzy tak mało okazywali mu serca. W dodatku do rodzinnej tradycji Bachów oprócz muzyki należała także wielka ilość dzieci. Pod tym względem Krzysztof był nieodrodnym Bachem. I to także, gdyż u Krzysztofa coraz mniej było wolnego miejsca, spowodowało, że w r. 1700 Sebastian opuścił dom brata. Został chórzystą w kościele św. Michała w Lüneburg. Kwitnęła tu dobra muzyka kościelna, miał więc sposobność poznać wiele znakomitych dzieł. Zbliżył się także do G. Böhma, ucznia sławnego Reinkena. Napewno pod wpływem Bohma Bach kilkakrotnie udawał się do Hamburga, aby słyszeć tego wielkiego organistę. Reinken był jednym z ostatnich, a może najświetniejszym, przedstawicielem starej szkoły holenderskiej, założonej w Sweelinck. W tym miejscu warto stwierdzić, że w Bachu stopiły się dwie najważniejsze szkoły sztuki organowej — południowo niemiecka przez Pachelbela oraz północno niemiecka i holenderska przez Reinkena, a później także Buxtehudego. W nim dopiero obie osiągnęły szczyt. Nigdy przedtem, ani nigdy potem majestatyczna sztuka gry na organach nie stanęła na takich wyżynach.

Mając lat 18 Bach opuścił Lüneburg dla Arnstadt, gdzie został organistą. Już tutaj osiągnął to mistrzostwo gry, które go miało potem wysunąć na czoło znakomitego orszaku organistów wieku. Obowiązki ciążyły na nim niewielkie, czasu miał mnóstwo, wykorzystywał go w pełni dla doskonalenia swej gry. W październiku 1705 roku otrzymał miesiąc urlopu, aby się udać do Lubeki celem słuchania wielkiego Buxtehudego. Nie wiemy, czy uczył się słuchając tylko jego gry, czy też stary arcymistrz powierzał mu osobiście tajemnice swej sztuki. Jest jednak pewne, że gra Buxtehudego uczyniła na Bachu wrażenie olbrzymie i niezapomniane, samowolnie bowiem przedłużył sobie urlop o dalsze trzy miesiące. Do Arnstadt wrócił dopiero w połowie lutego następnego roku i musiał się gęsto tłumaczyć przed gminą kościelną z długiej nieobecności, a konsystorz nie był bynajmniej zachwycony organistą swego kościoła. Nie znaczy to, aby gmina nie zdawała sobie sprawy przynajmniej z wielkich talentów Bacha. Przeciwnie, jego artystostwo było docenione, a conajmniej oceniane. Trzeba jednak przyznać, że nie podobało się postępowanie zdolnego młodzika, jego sekretne ucieczki w czasie najpobożniejszych kazań do niedalekiego... szynczku, zbyt czułe wprowadzanie na chór pewnego miłego dziewczątka, które też nazywało się Bach, a imiona, po Bachowsku, miało dwa, (aby się jakoś poznajdować i odróżnić w szeroko rozrodzonych geniturach) — Maria Barbara. Był też żywo krytykowany za zbyt wiele „dziwacznych dźwięków", które wprowadzał do akompaniamentu chóralnego, a co, być może, czcigodni członkowie konsystorza, wyprowadzali bezpośrednio z piwa oraz szlachetniejszych trunków, które aureolą wonnych obłoczków koronowały głowę młodego mistrza i to w czasie uro-

ADRIAN CHALIŃSKI

OBRONA KULTURY CZY BEFSZTYKU?

WYDARZENIA w Korei, ich przypuszczalne skutki na płaszczyźnie wojskowej, gospodarczej i politycznej, reakcja krajów europejskich, czy też raczej jej brak w większym wymiarze, oświadczenia specjalistów wojskowych o wątpliwej wartości bomby atomowej i innych broni „dernier cri", wywołały, przynajmniej u głębiej myślących, jakąś dziwną zadumę. Brak przygotowania Amerykanów, brak informacji o tym co się działo w Korei, ciągły „stan zaskoczenia" tak przypominający lata przed rokiem 1939, nie mogą nie dziwić nawet optymistów. Wprawdzie p. Truman nazwał wojnę w Korei „ekspedycją policyjną" ale zdaje się, że jest to wynikiem niechęci nazwania rzeczy po imieniu...

A właśnie obecna chwila nie tylko nadaje się ale zmusza do nazywania rzeczy po imieniu: przez sześć czy siedem lat karmiono świat określeniami „mniej więcej", eufemizmami, zbywano sprawy ważkie jakimś frazesem lub wykręcaniem się na pięcie. Demokracje mają tę złą stronę, (nie wszystkie zresztą), że nie lubią brać rzeczy na serio: są siebie tak pewne jak ów zając w bajce La Fontaine'a, który przedsięwziął wyścig z ślimakiem i wkońcu... wyścig przegrał! Ale mówiąc o Korei, o skutkach tego politycznego i wojskowego „dolce far niente" Zachodu, nie można się ograniczyć do ostatnich wypadków. Są one jedynie jednym z końcowych punktów całego procesu psychologicznego, całego szeregu etapów rozwojowych. Aby nie komplikować sprawy, pominiemy Amerykę, jako kraj swoisty, o własnej, odrębnej historii, i mówmy tylko o Europie, która obecnie, jak się zdaje, jeśli nie jest pozostawiona własnemu losowi, to w każdym razie musi zrobić olbrzymi wysiłek, aby wogóle dalej istnieć.

Francja jest bezwątpienia najbardziej klasycznym przykładem demokracji i krajem najbardziej w danej chwili wysuniętym na czoło wypadków (z racji obrony Indochin). Tutaj też można niestety, najbardziej obserwować zagadnienia, które prędzej czy później muszą być załatwione, o ile, słowo „demokracja" ma zachować jakąś wartość i odpowiadać ideałom europejskim.

SZKOŁA ŻYCIA

Nie potrzeba sięgać do X. Stanisława Konarskiego, wielkiego reformatora naszego szkolnictwa i tego pierwszego, który w ciemnościach epoki saskiej zapalił światło wiary i rozsądku, by wiedzieć, że naród jest takim jakim go uczyni szkoła i wychowanie. Nie istnieje ona jedynie po to aby zapełnić głowę ucznia setkami wiadomości, dat, nazwisk, formułek matematycznych czy chemicznych, lecz przede wszystkim po to, aby uczeń powziął w swej młodości pewne poglądy na życie, i umiał się w przyszłości kierować pewnymi wytycznymi moralnymi. Pogląd, że te wytyczne głównie powinna mu dać rodzina jest obecne niepełny: iluż jest chłopców czy dziewcząt, które mogą korzystać z nauk moralnych rodziców, zajętych nieraz przez cały dzień w swym zawodzie, lub też nie mających wiele do powiedzenia? Niestety przykłady skutków takiej edukacji są tutaj, we Francji aż nadto namacalne: szkoły świeckie ograniczają się literalnie do (dosyć zresztą powierzchownego) zaznajomienia ucznia z naukami, pozostawiając jego formację duchową i moralną albo przypadkowi albo też tylko rodzicom, którzy również mało do tego przykładają wagę. Walka o szkołę wyznaniową jest bezwątpienia jednym z najważniejszych zagadnień współczesnej Francji. Powolna laicyzacja państwa, oderwanie się rządu republiki już nie tylko od Kościoła katolickiego, ale nawet od zewnętrznych, z daleka choćby religię przypominających, objawów życia, wkońcu postępująca dechrystianizacja kraju, wydała jak najgorsze wyniki, których jednak zagorzali „demokraci" nie chą widzieć.

Istotnie dziwne jest rozumowanie tych „demokratów": ludność płacąca podatki, których część używana jest na szkolnictwo nie ma według nich prawa utrzymywania z swych *dodatkowych funduszy* szkół religijnych, które jakoby przeczą duchowi demokracji republikańskiej. Wynikiem tej sytuacji jest, że katolik posyłający dziecko do szkoły, w której na ścianie widnieje krucyfiks, i gdzie uczy się on katechizmu, *płaci podwójnie za szkolenie syna*, podczas gdy niedowiarek posyłający chłopca do szkoły „laickiej", nie płaci nic dodatkowo, gdyż szkoły te są darmowe! Szkoły te więc korzystają z podatków, wpłacanych przez ludność, ale korzysta z nich tylko część ludności! Ten stan rzeczy istotnie nie może być nazwany ani słusznym ani nawet rozsądnym. *Jest po prostu nadużyciem*, jak tyle innych, któremu zainteresowane katolickie sfery nie umiały dać dosyć rozgłosu. Nie chodzi tutaj bowiem tylko o sposób wychowania, który już sam w sobie, jest zagadnieniem aż nadto poważnym, ale po prostu o wyciąganie pieniędzy z kieszeni ludzi wierzących celem finansowania ognisk niewiary. Niestety szczupłość elementu katolickiego we Francji, nie pozwala na tak ostrą i kategoryczną walkę w parlamencie, ciągle się chwiejącym, jak by tego wymagała powaga zagadnienia.

Niedawno temu ogłosił w „Figarze" paryskim ciekawy artykuł na temat tej walki o katolicką szkołę André Siegfried opisując stosunki w Wandei. Prowincja ta słynąca w czasie „ancien règime'u" z wierności dla wiary i monarchii, do dziś zachowała swój nieustępliwy charakter. Jak wykazują statystyki głosowania z r. 1910 i 1946 Wandea a przynajmniej jej spora część „Bocage" głosowała w r. 1910 w 52% za prawicą, 32% za lewicą, a 16% wstrzymało się od głosowania. Wybory roku 1946 dały 53% prawicy, a lewica zebrała jedynie 28%. Podobnie jest w innych prowincjach zwłaszcza pozbawionych wielkich miast, co jednak nie daje tej ludności katolickiej ogólnej większości. Że walka o katolicką szkołę istotnie doszła do znacznego nasilenia, dowodzi choćby fakt, że w prowincji Poitou w miasteczku St. Maixent szereg rodzin ostentacyjnie odmówiło płacenia podatków aż do chwili kiedy sprawa wolnego nauczania katolickiego nie zostanie załatwiona. Wszystkim tym „porywom" wierzącej ludności brak jednak spoistości, sprawa sama jest traktowana z tą typową dla Francuza lekkością, powierzchownością i niedbałością, jakby tu nie chodziło o pierwszorzędne zagadnienie lecz o jakiś nowy film. Zdawało się, po wojnie 1918 r., że sprawa religii, po tak ciężkich doświadczeniach wojny i tak ofiarnej służbie dla ojczyzny licznych księży, wejdzie na dobrą drogę, a przynajmniej na drogę kompromisu. Okazało się jednak, że trucizna obojętności, jad laicyzacji i egoizm partyjny, bierze nad tym problemem górę.

OBYWATEL „NEUTRALNY"

Wśród wielu pochwał jakie na cześć demokracji wyrażają jej piewcy, spotkać można pochwałę, że „każdemu wolno myśleć co chce". Pochwała ta jest może pochwałą w zestawieniu z państwami totalnymi, gdzie „każdy myśli to co mu każą", nie jest jednak pochwałą sama w sobie. Istotnie stykając się z Francuzami stwierdza się tę „wolność myślenia" w tym znaczeniu, że każdy myśli jak i co chce i dochodzi w ten prosty sposób do tak rzetelnego zamieszania pojęć, że w chwili konieczności zgrupowania się, nie jest zdolny wybrać swój sztandar. Jeśli u nas, w Polsce, po wskrzeszeniu państwa, powstało tyle partyj, było to logicznym i nieuchronnym skutkiem chęci „wyżycia się", „wygadania" po 150 letniej niewoli kiedy nie wolno było ani myśleć ani mówić. Było to więc zjawisko „sezonowe" i wytłumaczalne choć złe. We Francji jest ono skutkiem zanikania wogóle wszelkiej moralnej dyscypliny, zdezorientowania w kwestiach wiary, moralności, oraz wynikiem jednostkowego egoizmu.

Ze smutkiem spoglądam na ten piękny kraj mający tak wspaniałą przeszłość, który, dzięki fałszywym poglądom, stacza się powoli coraz niżej. Jak wyobraża sobie rząd formację duchową obywatela gdy szkoła nie daje mu żadnej wiary? Dziecko czy młodzieniec pozostawiony sam sobie musi błądzić i musi wejść na najłatwiejszą drogę, t.j. obojętności i sceptycyzmu. Jak w takim razie może ten obywatel wykrzesać z siebie potrzebny entuzjazm, potrzebną wiarę w przyszłość i odporność, bez których nie można sobie wyobrazić obrony kraju? Bo w imię czego będzie jej bronił? Chyba w imię jedynie swych prywatnych interesów, t. j. stanie się powtórzeniem Polaka z epoki saskiej, który myślał jedynie o własnej „pieczeni", a reszta mu była zgoła obojętna. Te wszystkie punkty widzenia, tak jasne i tak łatwo dające się sprawdzić „in exemplo", nie przemawiają większości posłów do parlamentu do przekonania, którzy nadal dążą jedynie do wykorzenienia resztek katolicyzmu w tym kiedyś katolickim kraju.

DEMOKRACJA TO NIE BEZIDEOWOŚĆ.

Wprawdzie przykład Francji jest krańcowy i nie ma sobie równych w innych krajach Europy zachodniej, o której mówimy, ale nie mniej jest klasycznym przykładem skutków źle zrozumianej demokracji. Nie jesteśmy za tworzeniem jednej partii, do której wszyscy muszą należeć, ani zdławienia opozycji czy wolnej opinii: wręcz przeciwnie! Istnieje jednak konieczność logiczna aby ta wolność myśli, słowa i czynów, nie przekraczała pewnych granic zdrowego rozsądku. Obywatele „neutralni" t.j. zachowujący pełną obojętność wobec zjawisk życiowych, ideologij, programów i t. d. są szkodnikami: Jeśli jakaś wspólna wiara (w Boga lub diabła) nie łączy większości mieszkańców kraju, naród ten staje się nie grupą, lecz tłumem mówiącym wprawdzie jednym językiem i wyznającym pewne lokalne zwyczaje ale nie mającym żadnej wspólnej więzi moralnej.

W czasach oświeconego despotyzmu monarszego mógł powiedzieć Ludwik XIV: „Państwo to ja!" dziś natomiast gdy udział w rządach dostępny jest (teoretycznie) dla wszystkich, formuła brzmi: „państwo to my!". Częste krytyki, jakie się tutaj słyszy o rządzie, o nadużyciach wysoko postawionych osobistości, o słynnych „gaspillages" (roztrwonieniach), które przez szereg miesięcy były omawiane w rządzie, w radio, w prasie, naraz zaś — od pewnego czasu — poszły drogą tylu innych skandali t.j. popadły w niepamięć, nasuwają mi jedną odpowiedź: „wszak rząd powstał z waszych wyborów, posłowie są waszymi pełnomocnikami, więc macie taki rząd i takich posłów jakich chcieliście mieć!"

Nie ulega chyba wątpliwości, że wojna w Korei i z niej płynące dalsze komplikacje, nie jest „wyprawą policyjną", lecz początkiem olbrzymiego porachunku demokracji z totalizmem. W takiej walce gigantycznej zwyciężają nie tylko lepsze armaty: zwycięża lepsza, silniejsza, wiara, większa ofiarność, większy zapał, większy upór, większy potencjał moralny. Byłoby rozumowaniem wręcz materialistycznym, przypuszczać, że bomba atomowa załatwi sprawę. Pomijając stronę techniczną i wojskową tej bomby, nie było wypadku aby zwyciężyła strona niechcąca walczyć, uchylająca się od pojedynku, szukająca kompromisu. Ale aby chcieć walczyć trzeba wierzyć w jej wynik i trzeba wiedzieć za co się walczy. Otóż demokracje, niestety, aż nazbyt często wysuwają na pierwszy plan jako swe walory, których należy bronić, wygodne łóżko, dobrze zastawiony stół, lodówkę, czy piękne radio, auto czy wyjazd na „week-end". W obronie befsztyku nikt nigdy nie dokonał wielkich czynów. Dokonać ich można w obronie wiary — takiej czy innej, ale wiary!

Adrian Chaliński

czystych nabożeństw. Wszystko jedno, ostatecznie, jakie tam było pochodzenie tych harmonicznych innowacyj, ale szokowały one zacnych obywateli Arnstadt; były to dania zbytnio, jak na mieszczańskie żołądki, pikantne.

Nie brakło również innych uzasadnionych powodów do niezadowolenia. Bach, który nigdy nie wykazał talentów organizatorskich, zapatrzony i zasłuchany w organy, zaniedbał zupełnie chór. Jako bardzo kiepski pedagog, nie umiał nawet utrzymać dyscypliny. Albo zniechęcał się niezwykle łatwo, albo — i to często — po prostu tracił panowanie nad sobą, co tylko sprawę pogarszało. Nic więc dziwnego, że nie potrafił także nawiązać dobrych stosunków ze śpiewakami. A jednak mimo tylu uzasadnionych żalów, konsystorz nie dawał mu wymówienia. Proszono go tylko, aby zechciał jakoś zmienić sposób postępowania. Dopiero pod koniec 1706 roku, kiedy stało się oczywiste, że Bach ani myśli o zmianie na lepsze, pozycja jego stała się nie do utrzymania. Dla dobra obu stron trzeba się było rozejść. Z wiosną 1707 r. otrzymał z Mülhausen propozycję objęcia stanowiska organisty w kościele św. Błażeja. Bach zgodził się i z lekkim sercem opuścił Arnstadt. W tym też roku pojął za żonę swą kuzynkę, która tyle krwi napsuła członkom arnstackiego konsystorza.

Nie trzeba było wiele czasu, aby stwierdzić, że nawet po Arnstadt Mülhausen nie było bynajmniej rajem. Uporczywe wysiłki, aby podnieść poziom muzyki kościelnej rozbijały się jak o twardy mur — o zdecydowany opór pietystów, którzy z pasją odrzucali wszystko, co nie było najprostszą „duchową melodią" w muzyce kościelnej. Czcigodni ci gentlemeni ani rusz nie potrafili ocenić olśniewających śmiałości harmonicznych tego geniusza, który już zaczynał szturm do najwyższych regionów nieba sztuki. Utrzymanie się tu było niemożliwe, a że Bach nie chciał doprowadzić do otwartej wojny, opuścił swe stanowisko. Został niebawem organistą dworskim i muzykiem kameralnym w Weimarze u księcia Wilhelma Ernesta.

Był to człowiek nieprzeciętny, jeden z najlepiej ukształconych książąt epoki, obdarzony porywającym duchem odczucia sztuki, widzący swą rolę w jej kultywowaniu i popieraniu artystów. Interesował się szczególnie muzyką kościelną; widać, że zdawał sobie sprawę ze zdolności nowego organisty, często bowiem podwyższał mu wynagrodzenie. W tym otoczeniu i przy życzliwej opiece, talent Bacha rozwinął się jeszcze bardziej. Przebywał w Wejmarze 9 lat, a z wyjątkiem ostatniego roku — były to lata bardzo szczęśliwe. Napisał w tym czasie wiele dzieł dużej miary, jak „Orgelchoräle", „Choralvorspiele", sporo fug i preludiów oraz pierwsze kantaty, a między nimi taki prawdziwy klejnot jak „Gottes Zeit ist die allerbeste Zeit". — Odnosząc tyle sukcesów, Bach był pewien, że po śmierci (w roku 1716) kapelmistrza dworskiego Johanna Samuela Drese, otrzyma to stanowisko. Ale rozczarował się gorzko, kapelmistrzem został syn zmarłego, podrzędnego znaczenia muzyk. Zniechęcony, postanowił opuścić jak najszybciej Weimar. Nie poszło to łatwo, a książe, urażony jego postępowaniem, pozbawionym chęci podporządkowania się (— mimo wszystko muzyk wówczas był tylko rodzajem sługi) — kazał go aresztować. Bach spędził miesiąc czasu w więzieniu.

Wkrótce widzimy go na stanowisku dyrygenta zespołu kameralnego na innym dworze, u innego książątka, w Cöthen. Bach przyjął nowe miejsce jak wybawienie, chociaż pod każdym względem ustępowało poprzedniemu. Dwór w Cöthen należał do kościoła reformowanego, a więc muzyki kościelnej nie uprawiano. Organy zamkowe były kiepskie. Ale jednak kwitnęła tu muzyka komnatowa, kameralna i przez sześć lat Bach skierował swą twórczość głównie w tym kierunku. Książę Leopold sam był wybornym muzykiem, grywał podobno na skrzypcach we własnym zespole, który prowadził Bach. Bardzo szybko ocenił wspaniałe zdolności kompozytorskie swego kapelmistrza.

Ci dwaj ludzie zaprzyjaźnili się, a przyjaźń trwała jeszcze i wtedy, gdy Sebastian opuścił Cöthen.

Tych sześć lat, spędzonych w maleńkiej stolicy, było znacznie owocniejszych, niż okres weimarski. Główne dzieła instrumentalne Bacha zostały tu napisane, niektóre zapoczątkowane. Tutaj powstała pierwsza część „Das wohltemperierte Klavier", a więc dzieło, które objawiło światu możliwości fortepianu, które po prostu zrodziło fortepian dla muzyki i, pod pewnymi względami — dało nam potem Chopina. Tu powstały „Brandenburskie koncerty", różne dzieła no fortepian, skrzypce, wiolonczelę, flet etc. Z Cöthen podejmował podróże, był m. i. w Lipsku, Halli, gdzie usiłował spotkać się z Haendlem. (Jak wiadomo, do tego spotkania nie doszło). Wracając z jednego ze swych wypadów muzycznych, mianowicie z Karlsbadu, nie zastał już swej żony: Maria Barbara zmarła w czasie jego nieobecności. Nie mógł być nawet na pogrzebie, nim bowiem wrócił, została już pochowana. Dla Bacha, który żonę kochał, który żył pełnią życia rodzinnego — był to cios nad ciosy.

Z siedmiorga dzieci żyło czworo. Potrzebowały opieki kobiecej. Półtora roku później Bach żeni się powtórnie. Było to małżeństwo ze wszech miar szczęśliwe. Anna Magdalena, która urodziła Bachowi dalszych 13 synów i córek, nie czyniła różnicy między swymi a dziećmi z pierwszej żony. Była także muzykalna, pomagała mężowi, jak najlepszy, najczulszy przyjaciel — towarzysz, przepisywała jego muzyczne rękopisy, o które Sebastian nie troszczył się zupełnie. Dwie „Notenbüchlein" (z 1722 i 1725) są zarazem wzruszającym i niezwykle cennym świadectwem tego szczęśliwego i muzykalnego pożycia rodzinnego, które kwitnęło u Bachów.

W Cöthen Sebastian nie mógł zapewnić potrzebnego wykształcenia synom. Coraz silniej też odczuwał tęsknotę za muzyką kościelną, która była mu najbliższa — ten protestant był bowiem naturą żarliwie religijną — i za organami. Pogorszyła się teraz jego sytuacja na dworze. Książę bowiem ożenił się, a księżna nie podzielała entuzjazmu męża dla muzyki. Bach więc zaczął się rozglądać za innym stanowiskiem. Pora sposobna nadeszła, kiedy przez śmierć Johanna Kuhnau opróżniło się stanowisko kantora przy kościele św. Tomasza w Lipsku. Bach złożył podanie. Był trzecim na liście. Rada miejska bowiem ofiarowała wakujące miejsce wpierw dwu innym muzykom: Telemannowi, którego Polacy powinni chyba znać doskonale dla wielkiego podziwu, jaki ten kompozytor żywił dla współczesnej muzyki polskiej — i Graupnerowi.

Może ktoś zdziwi się tym krokiem rady miejskiej Lipska. Tymczasem osadzając rzecz w czasie, nie ma w tym nic niezwykłego. Bach był bowiem w Lipsku zaledwie znany. Dzieł swych nie sztychował, nie były więc rozpowszechnione. Jego genialna wielkość, tak oczywista dziś dla nas, bynajmniej nie była oczywistą dla współczesnych, którzy za jednego z czołowych kompozytorów uważali Telemanna 1) i dla których fakt, że Graupner był najulubieńszym uczniem Kuhnaua, dawał temu ostatniemu pierwszeństwo przed Bachem. Obaj stanowiska nie przyjęli, pozostał więc na placu Jan Sebastian. A kiedy wykonano specjalnie skomponowaną kantatę Bacha „Jesus nahm zu sich die Zwoelfe" — został wybrany jednogłośnie. Zainstalował się u św. Tomasza ostatniego maja 1723 roku.

Obowiązki miał liczne. Udzielał m. i. lekcyj śpiewu i gry na instrumentach w wyższych klasach, uczył łaciny w klasie trzeciej i czwartej, był też zobowiązany do komponowania muzyki na wszelakiego rodzaju nabożeństwa i uroczystości kościelne etc. Wynagrodzenie pobierał nie najgorsze, jednakowoż warunki pracy nie były idealne. O najdrobniejszy wydatek trzeba było staczać boje, wypisywać niekończące się petycje do władz kościelnych czy miejskich, które ze swej strony były w ciągłych sporach o sprawy bez znaczenia. Sytuacji niewątpliwie nie poprawiał fakt, że Bach nie był w najmniejszym stopniu łagodnym barankiem, który potrafi znosić cierpliwie wszelkie kłopoty i trudności życia. Wprost przeciwnie: wielki muzyk miał charakter uparty, gwałtowny nawet, potrafił być bezlitosny, szczególnie, kiedy żywił przekonanie o własnej słuszności. Bieda w tym, że nie zawsze ją miał, jak świadczy spór z nowym rektorem kościoła, Ernesti. Kiedy bada się dziś argumenty obu stron, nie można, chcąc być sprawiedliwym, nie zauważyć, że Jan Sebastian postępował w wysokim stopniu niewłaściwie, działając chwilami wręcz pod wpływem ślepej nienawiści, gdy jego przeciwnik przedstawiał sprawę spokojnie, z godnością i obiektywnie. A że te konflikty i gniewliwe kłótnie nie ustawały, należy po prostu, chociaż z niechęcią stwierdzić, że Bach miał naturę kłótliwą i swarliwą, choć nie był tak bezwzględny jak potem Beethoven, którego postępowanie cechowała jakaś chorobliwa dzikość i wszelki brak tego, co nazywamy kulturą współżycia.

I to jest jedna z najbardziej zdumiewających rzeczy w tym olśniewającym i potężnym geniuszu: Jako artysta przebywał na czystych wyżynach Królestwa Bożego, jako człowiek był przeciętną małostkową naturą małego mieszczucha. Chcielibyśmy, aby geniusz takiej mocy, który wielbił Boga takim blaskiem sztuki jak nikt przed nim i nikt po nim, był wyższy ponad kłótnie, spory, nienawiści, urazy i całą próżność ziemską. Tymczasem Bach — człowiek kładł tyle impetu w te właśnie sprawy, tak wielkie przywiązywał znaczenie do rzeczy jak najbardziej ziemskich, że wcale nie małą część swego życia strawił na niepotrzebnych zwadach, na pozbawionych godności wyrzekaniach, zawiściach, zazdrościach, na upokarzających zabiegach o kruche łaski „wielkich" tego świata. Naturalnie, niektóre z tych spraw tracą ostrość, gdy się spojrzy na nie w świetle ówczesnych stosunków ustrojowych i społecznych, ale dostatecznie wiele zostaje poprostu tego, co sprowadza się do samej gry natury ludzkiej, by można było się powołać raz jeszcze na to, co napisałem na wstępie: Bach-artysta i Bach-człowie — to dwaj zupełnie różni ludzie.

To nie przeszkadza, że następne pokolenia miały i mają rację w twierdzeniu, iż okres lipski jest okresem Bacha Największego. W tym czasie powstały te dzieła, które dziś uważamy za apogeum wszelkiej muzyki zachodniej wogóle. Wystarczy, że wymienię tylko „Mszę H-moll" i pięć Pasyj, z których do nas doszły zaledwie dwie — „Pasja według św. Mateusza" i „Pasja według św. Jana"; „Oratorium Bożonarodzeniowe"; „Magnificat"; „Sztukę fugi" (Kunst der Fuge); liczne kantaty; druga część „Wohltemperiertes Klavier", itd. Dla nas, katolików, jest rzeczą interesującą zauważyć, że Bach tak bardzo luterański, był jednakowoż obdarzony zmysłem odczuwania powszechności Kościoła, czemu najsubtelniejszy wyraz dał we „Mszy H-moll." Komponując nawet utwór religijny nie był bez reszty pochłonięty królestwem Ducha św., ale również... królestwem Saksonii, od której katolickiego władcy, równocześnie króla polskiego Augusta II, (nie, nie przyniósł on chwały ani Polsce ani Kościołowi), pragnął otrzymać tytuł „Hofcompositeur", kompozytora nadwornego. Do tego tytułu, który był czczą i pustą dekoracją, Jan Sebastian przykładał wielką wagę. W tym celu posłał wraz z kornym adresem Kyrie i Gloria rozpustnemu monarsze. Kompozycje zapisano do biblioteki królewskiej; nigdy nie została wykonane.

I z Lipska Bach często wyjeżdżał. Jedną z największych jego podróży jest wyjazd do Poczdamu, kiedy to poznał króla pruskiego Fryderyka, zwanego Wielkim. Kiedy przed nim improwizował na temat, zadany mu przez Fryderyka, król wykrzyknął z podziwu: „Jest tylko jeden Bach"! Po powrocie do Lipska, Sebastian opracował drobiazgowo swą improwizację i przesłał utwór monarsze.

Wkrótce po tej podróży zdrowie Bacha osłabło. Na dobitkę oślepł. Wielki mistrz czuł zbliżający się koniec. Koniec zabiegów, życiowych trosk, walk i utarczek, bolesnych zmartwień o najukochańszego a najmniej miłości godnego najstarszego syna. W ciemnościach zewnętrznych, które go ogarnęły, słyszał tajemniczy szum skrzydeł wieczności. Wsłuchiwał się w rytmy Królestwa Bożego, które tylekroć wielbił potęgą swej sztuki. Zerwał się jeszcze — to było ostatnie jego dzieło — do fantazji chóralnej „Von Deinen Thron tret ich allhier". To był jego śpiew łabędzi. Dnia 28 lipca 1750 roku zakończył życie geniusz muzyki, którego nie wahano się nazwać „piątym Ewangelistą".

Nie wiem, czy wyraził ktoś dobitniej niż Chopin nieśmiertelną prawdę jego sztuki:

„Jeśli jaka epoka odwróci się od Bacha, da sobie smutne świadectwo płytkości, głupoty i zepsutego smaku".

Manfred Wolf

Przekład: J. Tokarski

1) Niektórzy z współczesnych muzyków — i to nie tylko niemieckich — są również zdania, że Telemann nie wiele siłą i rozległością talentu ustępuje Bachowi (v.m. i. Moersemanna: „Das Musikhören"). Przyp. tłumacza.

GALEN I CHRZEŚCIJANIE

POWSZECHNIE znany jest fakt, iż starożytni autorowie pogańscy, jeśli im wypadło pisać o chrześcijanach, wyrażali się o nich z nieukrywaną niechęcią lub wprost z pogardą. Wyjątkiem wśród nich był Galen (129-199), jeden z najznakomitszych lekarzy owych czasów, autor setek rozpraw medycznych oraz filozoficznych. Profesor R. Walzer, znawca starożytnej i średniowiecznej filozofii hebrajskiej i arabskiej, poświęcił ostatnio ciekawe studium o zapiskach w dziełach Galena odnoszących się do chrześcijan i żydów[1]. Jest ich ogółem sześć: trzy w oryginalnym tekście greckim a reszta tylko w przekładzie arabskim rozpraw zaginionych w oryginale.

W części pierwszej swej rozprawy prof. Walzer podaje treść wspomnianych zapisek (po grecku, arabsku i w przekładzie angielskim) oraz omawia życie i działalność Galena. Pochodził on z Pergamonu[2], największego wówczas ośrodka życia umysłowego w Małej Azji. Jego ojciec, właściciel bogatego przedsiębiorstwa handlowego a równocześnie bardzo światły człowiek, zapewnił mu gruntowne i wszechstronne wykształcenie w rodzinnym mieście, głównie w filozofii i medycynie. Dla pogłębienia swych studiów, udał się Galen w podróż do Grecji i Egiptu (do Aleksandrii) a następnie wrócił do rodzinnego miasta i poświęcił się praktyce lekarskiej. W roku 162 udał się do Rzymu i tu rychło zyskał ogromne wzięcie jako lekarz. W r. 166 wrócił na jakiś czas do Pergamonu i odbył równocześnie podróż po Małej Azji, zapewne w poszukiwaniu materiału do swych studiów medycznych. Od roku 169 osiadł w Rzymie na stałe, praktykując jako lekarz oraz publikując swoje rozprawy. W medycynie był zwolennikiem metody eksperymentalnej; przeprowadził bardzo wiele sekcji oraz przestudiował to, co inni na ten temat napisali, dochodząc do ogromnego doświadczenia w anatomii i fizjologii. On to, jak się zdaje pierwszy, zwrócił uwagę na krążenie krwi.

Z wyznawcami religii Mojżeszowej zetknął się Galen najprawdopodobniej dopiero po przybyciu do Rzymu. Prof. Walzer przypuszcza, iż stało się to za pośrednictwem Rufusa z Samarii, Żyda palestyńskiego osiedlonego w Rzymie i tu publikującego (po grecku) swoje komentarze do dzieł Hippokratesa[3]. O wiele trudniejsze do wyśledzenia są drogi, którymi Galen doszedł do zetknięcia się z chrześcijanami. Według prof. Walzera stało się to prawdopodobnie na dworze cesarskim, gdy Galen został nauczycielem i wychowawcą syna i następcy cesarza Marka Aureliusza (161-180) znanego później pod przydomkiem Commodus (180-192). Jak wiadomo — Marek Aureliusz prześladował chrześcijan.

Gdy Commodus doszedł do władzy — prześladowania ustały i chrześcijanie mogli we względnym spokoju wyznawać swoją religię. Prof. Walzer przypuszcza, powołując się na historyka kościoła Euzebiusza, iż byli oni również i w otoczeniu zbliżonym do cesarza, i że tu Galen zetknął się z ich nauką. Przytacza nawet fakt, podawany przez historyka Diona Cassiusa, iż do zwolenników religii chrześcijańskiej należała kochanka cesarza Commodusa, niejaka Marcia, która — jak pisze ów autor — nietylko że sprzyjała chrześcijanom, ale starała się nawet im dopomóc o ile oczywiście mogła coś dla nich uczynić przez człowieka tego typu co Commodus. To ostatnie zastrzeżenie jest właściwie jedynym faktem, który w tej wzmiance można przyjąć za prawdziwy. To bowiem, co piszą o Commodusie Herodian i Aelius Lampridius (Scriptores Historiae Augustae) nie pozwala przypuścić, by chrześcijanie ubiegali się o wpływy i poparcie w tak wynaturzonym i moralnie zdegenerowanym środowisku, jakim był dwór cesarski. Zresztą wzmianka Diona Cassiusa i z tego jeszcze powodu może być poddana w wątpliwość, iż pochodzi z tej części jego historii Rzymu, która dochowała się do naszych czasów jedynie w streszczeniu bizantyjskiego historiografa Zonaresa i jest zapewne (jak to sam prof. Walzer nawet przypuszcza) li tylko interpolacją. Kwestia: gdzie Galen zetknął się z chrześcijanami i ich nauką, pozostaje nadal niewyjaśniona.

Wzmianki Galena o chrześcijanach i żydach są ciekawe i z tego jeszcze względu, iż stawia on ich religię na równi z popularnymi wówczas systemami filozoficznymi pogańskimi, zarzucając jej jedynie, iż opiera się nie na rozumowaniu i dociekaniach z obserwacji i doświadczenia, ale na wierze w naukę podaną przez Mojżesza i Chrystusa. Naukę tę ceni jednak i poważa, gdyż jest ona źródłem wysokiego poziomu moralnego jej wyznawców.

Uwagi Galena o chrześcijanach, jak wynika z faktów przytoczonych przez prof. Walzera w części drugiej jego pracy, były później szeroko komentowane wśród pisarzy chrześcijańskich i niechrześcijańskich i wiążą się w jakiś przedziwny sposób z szerzącą się wówczas w Małej Azji sektą, której twórcą był niejaki Theodotus z Bizancjum, z zawodu handlarz skór, ale wykształcony w filozofii. Rozczytując się w autorach pogańskich, powziął on śmiałą myśl stworzenia chrześcijańskiego systemu filozoficznego opartego na Objawieniu i filozofii greckiej i znalazł wielu zwolenników dla swej nauki wśród chrześcijan w Małej Azji. Ponieważ odbiegała ona jednak zbyt daleko od ewangelii i tradycji chrześcijańskich — ówczesny papież Wiktor (187 - 198) wyłączył Theodota i jego zwolenników ze społeczności chrześcijańskiej. Historyk kościoła Euzebiusz, który przekazał nam nieco szczegółów o filozofii Theodota, powiada, iż jedną z cech jego sekty było rozczytywanie się w pismach Galena i nieomal że uwielbianie jego osoby. Być może, że istnieją jakieś niewyjaśnione dotychczas związki pomiędzy podróżą Galena do Małej Azji w latach 166 -169, jego wzmiankami o chrześcijanach, świadczącymi o znajomości zasad ich wiary oraz sektą Theodota.

Józef Jasnowski

1) *„Galen on Jews and Christians" by R. Walzer. London 1949. Geoffrey Cumberlage, str. 101 plus 8 nlb.*

2) *Współczesna, turecka nazwa Bergama; leży w pobliżu morza Egejskiego, naprzeciwko wyspy Mitylene (Lesbos).*

3) *Znakomity lekarz grecki z piątego wieku przed Chr.*

KRONIKA PLASTYCZNA

MIŁOŚNICY malarstwa znajdą w nowych i przegrupowanych salach National Gallery — prawdziwą ucztę. Już w przedsionku do Galerii widzimy szereg nowych dzieł wielkiej wartości. Nad drzwiami duży obraz Tintoretta „Umycie nóg Apostołom“ z późnego okresu mistrza. Po lewej stronie od wejścia wibruje złotą tonacją wspaniały „Umarły Chrystus“ Ribery (1589 — 1652) i przykuwają wzrok inni wielcy Hiszpanie. Świetny portret admirała Pulido Pareja wydaje mi się najsłuszniej przypisany Velasquez'owi; prawie nie do pomyślenia, aby jakiś naśladowca tak podrobił brawurową technikę „Malarza prawdy“ i swoistą ostrość jego obserwacji. Poważne wartości ma też duży obraz Murilla „Chrystus przy źródle“. — Szczególnie pięknie jest malowane architektoniczne tło.

Radzę odszukać w dalszych salach nowoodnowiony obraz Ribery „Pasterz z owcą“. Już takie dwa obrazy dadzą o autorze pojęcie.

Nad kioskiem z wydawnictwami wisi piękny obraz ze szkoły Fra Angelica — „Zwiastowanie“, a na przeciwległej ścianie równie piękne dzieło Gaudenzio Ferrari (1481-1546). Wielka sala naprzeciw wejścia, w obecnym układzie, jest jedną z najpiękniejszych, jakie kiedykolwiek widziałem z zasięgu malarstwa włoskiego z przełomu wieku XIV na XV w galeriach europejskich. Do znanych arcydzieł Mantegni, Giovanni Belliniego, Cosme Tura, Cima de Conegliano, doszło szereg dzieł dotąd nie oglądanych w Londynie od szeregu lat. A więc doskonałe obrazy Bartolomeo Montagna (1450 — 1523) z Vicenzy i Wenecjanina, wyrafinowanego kolorysty Vittore Carpaccio (1450 — 1522) — „Święta Urszula opuszcza ojca“. Jest też nowa Madonna Giovanni Belliniego (1428 — 1516), podkreślające jeszcze raz zdumiewające bogactwo i niepowtarzalność tego malarza. Cóż za kontrast purpury i szafiru, jaki modelunek twarzy (kolorem!).

Mała salka obok, poświęcona szkole sjeneńskiej ,wzbogaciła się czterema obrazami Ugolina da Siena, „Zdjęcie z krzyża“. „Zmartwychwstanie“ (cóż za prostota!), „Pocałunek Judasza“ i „Dwóch świętych“.

W następnej sali Florentyjczyków z XV wieku, przybył śliczny obraz Fra Angelica „Chrystus i święci“. Sala malarstwa angielskiego zawiera prawdziwe klejnoty Turnera z dwu okresów jego najdonioślejszej twórczości: z lat 1805 — 1810 i 1840 — 1845. Można by pomyśleć, że pejzaże „Walton Reach“ i „Walton Bridge“ malował... Stanisławski (ale 100 lat później!). „San Benedetto“ (1843) i Great Western Railway“ (1844) mogą śmiało konkurować z arcydziełem Turnera „Śmierć Temmeraire'a“, którego nie widać od roku w zbiorach National Gallery. Trzy te obrazy ,oparte o pryzmat problemów światła, jak cała późniejsza twórczość Turnera, wyróżniają się głębokim zrozumieniem koloru (co rzadko da się powiedzieć właśnie o innych jego obrazach z tego okresu).

Rembrandt (i jego bezpośredni epigonowie) został umieszczony w osobnej sali. Do nieporównanej kolekcji jego dzieł przybyły: „Człowiek w czapce“ i „Filozof“. Ten ostatni obraz, podobnie jak „Portret mężczyzny z koronkowym kołnierzem“, należy do najmniej przekonywujących obrazów mistrza.

Ogromna sala pozostałych Holendrów z siedemnastego wieku świeci blaskiem świeżo odczyszczonych płócien. Obraz Cuyp'a — „Pejzaż z krowami“, jakby zmartwychwstał po zdjęciu zbutwiałych werniksów.

Otwarto trzy nowe sale, skupiające wspaniałe zbiory szkół flamandzkiej i niemieckiej. W ostatniej króluje znowu Dürer z „Madonną“ w krwisto czerwonej sukni i Holbein z „Ambasadorami“, z kaprysem olbrzymiej, zdeformowanej czaszki u nóg dyplomatów.

Wśród Flamandów skrzą się, niewidziane po wojnie, obrazy Memlinga, Dirk Bouts'a, Gerarda Davida, Rogera van der Weyden i innych. Wrażenie — wstrząsające.

Szereg obrazów z Tate Gallery, np. ,Krzesło“ Van Gogh'a przewędrowało do National.

m. b. s.

KRONIKA KULTURALNA

WIADOMOŚCI OGÓLNE

Na wiosnę 1951 rozpocznie się w Paryżu budowa drugiego „miasta uniwersyteckiego”. Uniwersytet Paryski kształci obecnie 60.000 studentów. Z tego 3.500 mieszka w dotychczasowym „Cité Universitaire”. Nowe miasto uniwersyteckie, które ma powstać na jednym z przedmieść Paryża, pomieści 2.000 studentów i 400 małżeństw studenckich.

Jednocześnie w stadium realizacji wchodzi inna piękna inicjatywa — artysty finlandzkiego M. Snellmanna — stworzenia w Paryżu międzynarodowego „miasta sztuki”. Zarząd miasta Paryża ofiarował realizatorom duży teren nad Sekwaną i piękny budynek „Hotel d'Aumont”, który w tej chwili jest odnawiany. W kosztach powstania i organizacji tego wielkiego centrum sztuki biorą udział następujące kraje: Argentyna, Belgia, Brazylia, Egipt, Grecja, Hiszpania, Izrael, Kanada, Stany Zjednoczone, Holandia, Wielka Brytania, Turcja, Urugwaj i Wenezuela.

GRÓB ŚW. BENEDYKTA

Gdy czcigodne mury opactwa benedyktyńskiego na Monte Cassino zwaliły się pod bombami lotniczymi i ogniem artylerii, świat katolicki był zapewniany, że zniszczenie nie dotknęło samego grobu Świętego Patriarchy. Obecnie wiadomość ta znalazła ostateczne potwierdzenie. W związku z wyciągnięciem prawie pod dach murów kościoła klasztornego i z przystąpieniem do odbudowy wielkiego ołtarza i prezbiterium znajdującego się — jak wielu Polakom wiadomo — bezpośrednio nad grobem św. Benedykta i jego siostry św. Scholastyki, przeor Monte Cassino w towarzystwie zaproszonych specjalnie przeorów klasztoru św. Pawła za Murami w Rzymie i przeora z Cava — dokonał inspekcji grobu i prowadzonych tam robót. Po odprawieniu mszy św. przed ołtarzem, konsekrowanym przez papieża Benedykta XIII, komisja przeorów przystąpiła do oględzin. Okazało się, że do podziemia grobowego przedostał się jeden pocisk artyleryjski, który znaleziono w odległości jarda od urny zawierającej szczątki świętego rodzeństwa. Wielka płyta z greckiego marmuru, zamykająca wejście do grobowca została strzaskana masami kamieni, które spadły na nią. Po całym dniu pracy, około godziny 6 wieczorem, robotnicy wybili otwór, którym wszedł do grobowca przeor Monte Cassino. Bardzo troskliwie usunięto kamień — leżący na *loculum* (miejscu schronienia urny) i znaleziono urnę alabastrową w stanie nietkniętym. Na stronie wewnętrznej płyty położonej nad urną znajduje się napis, wyryty podczas inspekcji grobu w r. 1484 oraz inny, wykonany w dniu 7 sierpnia 1659, po oględzinach urny przez przeora Angello della Noce przy okazji przeróbek kościoła. Przy tej ostatniej inspekcji urna była wyjęta i opieczętowana pieczęciami trzech przeorów. Korespondent „The Tablet”, skąd czerpię te informacje, nie podaje ,czy w dniu tegorocznej inspekcji, to jest 1 sierpnia br., dodano nowy napis do poprzednich.

FILOZOFIA

Jak już donosiliśmy Papieska Akademia św. Tomasza przygotowuje III Międzynarodowy Kongres Tomistyczny, który odbędzie w Rzymie w połowie września. Tematem obrad będzie stosunek filozofii do religii. Wśród zapowiedzianych prelegentów znajdują się wybitni filozofowie katoliccy jak. O. Garrigou-Lagrange i Francesco Olgiati.

LITERATURA

Dowiaduje się, że na odbytym ostatnio w Londynie światowym zjeździe SPK postanowiono ustanowić doroczną nagrodę literacką w kwocie 100 funtów. Szczegóły będą później podane w prasie. Oby ustanowienie tej nagrody było momentem przełomowym w stosunku SPK do spraw kultury polskiej, bo przez pierwsze lata swego istnienia organizacja ta zajmowała się stosunkowo niewiele sprawami kulturalnymi. Ostatnio widać pewną poprawę, a uchwalenie dorocznej nagrody literackiej zdaje się świadczyć o wzrastającym poczuciu odpowiedzialności wśród działaczy kombatanckich.

* * *

We Francji obchodzono uroczyście 300 rocznicę śmierci słynnego gramatyka Claude Fauvre de Vaugelas (1595-1650), autora „*Remarques sur la langue française*”, uznanego za twórcę jedności języka francuskiego. Studiowali Vaugelas'a Racine i Boileau, ów — jak go nazwano — policjant języka francuskiego, który swą zimną, pedantyczną jednostronnością oddzielił język literacki Francji od dawnej literatury i od żywych źródeł języków ludowych. Corneille poprawiał swoje utwory, by je dostosować do wskazań gramatyka. Autorytet jego był ogromny. W ramach uroczystości na cześć Vaugelas'a, wystawiono „Uczone białogłowy” Moliera, w których nazwisko gramatyka jest kilkakrotnie wymienione. Warto dodać, że sztuka ta grana jest obecnie także w Krakowie.

* * *

Yvonne Pagniez, która opisała swoją ucieczkę z Ravensbrück w książce pod tytułem „Evasion 44”, nagrodzonej Wielką Nagrodą Akademii Francuskiej, opowiedziała teraz zakończenie swych przygód w książce zatytułowanej „*Ils ressusciteront d'entre les morts*” (wydawnictwo Flammariona).

PLASTYKA

Z okazji Biennale Weneckiej (wystawa sztuki nowoczesnej) sprawozdawca plastyczny „Public Opinion” zamieścił kilka interesujących uwag o reprezentowanych tam dziełach artystów brytyjskich. Krytyk ten, nazwiskiem Bernard Denvir, pisze o Johnie Constablu (nb. najstarszym z malarzy wystawionych w Wenecji), że wprawdzie obecność jego na tej wystawie jest godną pochwały, ale w świetle włoskim obrazy angielskiego mistrza tracą wiele. Drugiego artystę brytyjskiego — Mathew Smitha — nazywa Denvir malarzem błyskotliwym, ale błądzącym. Jest to wprawdzie najwybitniejszy, a może nawet jedyny fauwista Anglii, ale uporczywe jego powtórzenia i podkreślenia wyglądają blado przy nieustannej wynalazczości artystycznej jego mistrza Matisse'a, który otrzymał na Biennale nagrodę rządu włoskiego w kwocie miliona lirów. Jeśli chodzi o trzecią siłę brytyjską — p. Barbarę Hepworth, to nie należało się po niej spodziewać takiego sukcesu, jaki odniósł w zeszłym roku Henry Moore, który otrzymał na poprzedniej wystawie weneckiej pierwszą nagrodę w dziedzinie rzeźby. Barbara Hepworth pokazała rzeźby — formalistyczne, logiczne i — jak powiada Denvir — przesadnie „higieniczne” — rysunki: pozornie klasycznie abstrakcyjnie, a w rzeczywistości emocjonalne i liryczne, prawie sentymentalne. Jeśli chodzi o artystów innych narodowości, to — zdaniem krytyka „Public Opinion” (którego ostre i przenikliwe uwagi czyta się z przyjemnością) — w zastanawiający sposób ujawniają oni w swej sztuce cechy charakterów narodowych. Holendrzy dają ciepło graniczące z rozwiązłością, Amerykanie są neurotycznie abstrakcyjni, Francuzi malują lekko, z gracją i *esprit*, Niemcy ujawniają podskórną nutę tęsknoty do wielkości i napuszoność. Meksyk, o którym wie się tak mało, osiągnął sukces na wystawie: dzieła Meksykańczyków Tomayo i Sequirosa są pełne życia — zachwycają witalnością, jakby płynącą z wieków. Jugosłowianie i Hiszpanie — ciągle zdaniem p. B. Denvira — zaprezentowali się jako „reakcjoniści” w sztuce.

St. Pał.

PSYCHOLOGIA

Nakładem F. Allen and Unwinn ukazała się książka Edwarda Glovera pt. „F r e u d o r J u n g“ (cena 15 s), będąca rozszerzeniem trzech artykułów opublikowanych poprzednio w czasopiśmie „Horizon“. Mimo pozorów erudycji i wnikliwości, autor — fanatyczny freudysta — wykazuje kompletną niezdolność zrozumienia podstawowych tez i odkryć C. G. Junga.

Książka ta jest klasycznym przykładem jak materializm filozoficzny, przeniesiony do jakiejkolwiek dyscypliny naukowej, przeradza się w swoistą parodię teologii. Autorowi nie chodzi w gruncie rzeczy o to, który z wielkich uczonych — Freud, czy Jung — bardziej zbliżył się do pełni prawdy o wnętrzu człowieka. Pan Glover po prostu ustala, że nauka Junga jest niezgodna z teoriami Freuda (co jest zresztą każdemu wiadome) i ogłasza Junga za heretyka pospołu z innymi psychologami jak Adler, Rank, Reik, Horney, czy Klein. Rozumowanie bardzo proste, ale nie mające nic wspólnego z nauką, choć nagminnie stosowane w sprawach naukowych i politycznych w Rosji. Czytając wypowiedzi Glovera czeka się prawie, kiedy nazwie on Junga Trockistą. Nie czyni tego dosłownie, natomiast ucieka się do niepopartych dowodami inwektyw o rzekomych sympatiach C. G. Junga dla hitleryzmu.

Recenzent „New Statesman and Nation“ p. A. D. Harris, choć sam zwolennik Freuda, poddaje „dzieło“ dra Glovera druzgocącej krytyce. Od siebie dodam, że komentując różne oglądy (aspekty) doktryny Junga, zacietrzewiony dr Glover zdaje się nie rozumieć podstawowej zasługi wielkiego szwajcarskiego psychologa i myśliciela, którego dzieło ciągle jest niedostatecznie rozpowszechnione nawet wśród specjalistów, nie mówiąc o szerszych kołach inteligencji . Podczas, gdy Freud redukował fenomeny psychiczne a d c a u s a m, czyniąc z człowieka jakąś nędzną, bezwolną istotę — wypadkową nurtujących w podświadomości popędów, urazów dzieciństwa i zbiorowych przesądów (totem i tabu) — C. G. Jung, dowodzi, że psychika człowieka pracuje cyklicznie: raz cofa się, redukuje do przyczyn (regresja), to znowu skacze naprzód, orientując się teleologicznie na określony, wybrany cel. Mówiąc innymi słowy, Jung zerwał z determinizmem w psychologii i przywrócił osobie ludzkiej godność obdarzonego wolną wolą podmiotu działania — tę godność, której pozbawił ją Freud

Skoro już mowa o Jungu, na którego z motyką ortodoksji freudiańskiej porwał się p. Glover, to warto przypomnieć, że już po wojnie ukazało się parę nowych prac tego wspaniałego uczonego. Pierwsza z nich — „Über psychische Energetik und das Wesen der Traüme; Symbolik des Geistes“ (Zürich, Rascher Verlag) jest osiągalna także w Anglii, gdzie Jung cieszy się dużym uznaniem, (choć nie jest szeroko znany wśród inteligentnych laików). Nie wiem, czy książkę tę można nabyć na własność — w każdym razie znajduje się ona w bibliotekach publicznych (osobiście dostałem ją na Hampsteadzie). Druga powojenna praca Junga — do nabycia wszędzie — to niewielki objętościowo, lecz nabity treścią, przełożony na język angielski zbiór essay'ów i studiów o zagadnieniach współczesnych.

Odkładając omówienie tych prac do innej okazji, pragnę dodać dla osób nieznających języka niemieckiego, że dzieła C. G. Junga (nie potrafię powiedzieć czy wszystkie, w każdym razie zasadnicze) zostały przełożone na język angielski. Przekład jest bardzo dobry i łatwy w czytaniu. Kto ma jakie takie przygotowanie w dziedzinie psychologii głębinowej lub choćby studia humanistyczne, w krótkim czasie wchodzi w terminologię jungowską (którą sam autor starannie objaśnia, odgraniczając własne zwierzenia od freudowskich) i po przebrnięciu pierwszych trudności już łatwo może postępować naprzód w przyswajaniu sobie treści. Osobom znającym jednakowo języki niemiecki i angielski zalecałbym jednak stanowczo korzystanie z niemieckiego oryginału, zwłaszcza, że niemczyzna Junga jest bardzo piękna, klarowna i oryginalna. Uprzedzam, że studia nad Jungiem wymagają cierpliwości i pracy — ma on ustępy trudne, które trzeba trawić powoli. Ale wysiłek przynosi znaczną nagrodę: wchodzenie w świat myśli tego uczonego, zwłaszcza czytanie jego ostatnich prac, daje najwyższą rozkosz intelektualną.

(sp)

KSIĄŻKA EMIGRANTA

POD tym tytułem pisałam przed dwoma laty recenzję z pierwszego tomu tego niezmiernie pożytecznego wydawnictwa, jakim jest Rocznik Polonii w opracowaniu dra B. O. Jeżewskiego, którego tom drugi z kolei ukazał się przed paru tygodniami. Jest to istotnie książka emigranta i równocześnie chyba najbardziej skrzętna książka na emigracji. Wystarczy powiedzieć, że autor wysłał ponad 5.000 listów — dosłownie na cały świat celem zdobycia potrzebnych informacyj. W normalnych warunkach trzeba by dla wykonania wszystkich prac, związanych z powstaniem książki tego typu całego biura. Tylko, że w tak zwanych czasach „normalnych“, kiedy były na to potrzebne środki, nikt o tym nie myślał, jak i o wielu innych ważnych i potrzebnych rzeczach. Teraz robi to jeden człowiek, który pozatem, prywatnie, jest „na codzień“ (a raczej na noc) robotnikiem fabrycznym.

Rocznik Polonii 1) to trochę ,mały rocznik statystyczny‘, trochę encyklopedia najniezbędniejszych wiadomości o głównych krajach osiedlenia i rozproszenia polskiego: ustrój, władze, bogactwa, cyfry dotyczące ludności, wiadomości gospodarczo-handlowe. Dalej: mamy tu najobfitsze jakie ktokolwiek dotąd zebrał adresy polskich placówek na całym świecie: instytucyj kulturalnych, handlowych, szkół, organizacyj społecznych, zawodowych, kościołów, parafij, a nawet nazwiska członków zarządów tych różnych instytucyj.

Część pierwsza, około połowy wydawnictwa, podzielona jest według poszczególnych krajów. Tu mamy właśnie wszystkie wyżej wymienione szczegóły obchodzące Polaków. Uwzględnione zostały kraje następujące: Argentyna, Australia, Austria, Belgia, Brazylia, Chile, Dania, Egipt, Francja, Grecja, Hiszpania, Holandia, Irlandia, Italia, Kanada, Kenya, Kuba, Liban, Luxemburg, Niemcy, Norwegia, Nowa Zelandia, Paragway, Peru, Portugalia, Stany Zjednoczone, Szwajcaria, Szwecja, Tanganyika, Watykan, Wenezuela, Wielka Brytania, Uganda, Unia Płd. Afrykańska i Urugway...

Część druga przynosi zestawienie prasy polskiej, wychodzącej poza granicami kraju. Niektóre pozycje przestały już być aktualne, ale oczywiście redaktor Rocznika nie ponosi odpowiedzialności za to, że emigracyjne gazety polskie jeszcze szybciej upadają niż powstają.

Nowością jest dział trzeci Rocznika. Mamy tu krótkie informacje biograficzne w języku angielskim o 127 wybitnych Polakach lub cudzoziemcach polskiego pochodzenia, którzy z powodu swego stanowiska, zasług, talentów, mogą być przedmiotem zainteresowania wśród obcych. Jest jeszcze jedna nowość w stosunku do poprzedniego tomu: niektóre ważne objaśnienia podano w trzech językach, oprócz polskiego w angielskim i francuskim.

Opóźnienie wyjścia z druku tej pożytecznej książki nie powinno być przeszkodą w jej szerokim rozejściu się. Nie jest to bowiem kalendarz. A warto ją poprzeć nie tylko dla rzeczywistej wartości, jaką posiada i dla usług, jakie oddaje, lecz i dla uznania, jakie budzi ta mrówcza, mozolna praca j e d n e g o człowieka. Rocznik powstał jako inicjatywa prywatna, bez niczyjej subwencji. Że autor i jego dzieło posiadają już zaufanie, najlepiej świadczy fakt, że drugi tom wogóle wyszedł. Wyszedł właśnie dzięki poparciu abonentów pierwszego wydania, którzy w liczbie ponad 400 subskrybowali nowe wydanie. Nie brakuje wśród nich także cudzoziemców i to na bardzo wysokich stanowiskach, znanych powszechnie, znanych doskonale i Polakom.

Rocznik wydany jest estetycznie, niezwykle staranny druk i doskonały przyrząd drukarni polskiej z Belgii „La Colonne“. Chociaż Rocznik siłą rzeczy pełni rolę informatora głównie technicznego, jednak stwarza w zarysie pewien dokładny szkic ogólnego stanu polskiej emigracji.

Janina T.

1) ROCZNIK POLONII. Red. naczelny B. O. Jeżewski. .Str. 248. Cena 15 sh. Wydawnictwo Taurus, Publishers & Distributors, Ltd. London, 1950.

KRONIKA FILMOWA

FOTOGRAFIA CHRYSTUSA PANA

JAK donosi Vitaliano Rovigatti („International Film Review“, Nr 5), w studio „Cinecitta“ w Rzymie ukończono ostatnio film zatytułowany „Fotografia Chrystusa“. Jest to krótkometrażówka dokumentarna o Całunie Turyńskim, wyprodukowana przez dra prof. Luigi Gedda.

Film ten w sposób nieodparty potwierdza opisywane w Ewangeliach fakty dotyczące Męki Pańskiej. Inicjatorem tej kapitalnej imprezy filmowej był profesor uniwersytetu i lekarz Luigi Gedda, który postawił sobie dwa cele: po pierwsze — udowodnienie w sposób naukowy, że Całun Turyński jest niewątpliwie płótnem, którym było owinięte Ciało Chrystusa Pana i — po drugie — wyprowadzenie z zawartości tej relikwi nazwanej Piątą Ewangelią dalszych potwierdzeń szczegółów Męki Pańskiej.

Film „Fotografia Chrystusa“ odtwarza 20 wieków liczącą historię Całunu, zaczynając od najstarszych dokumentów i kończąc na naszych czasach.

Całun Turyński jest prześcieradłem grobowym, które — zgodnie z tradycją— nałożone było na Ciało Chrystusa, poczynając od stóp do głowy i z powrotem do stóp. W wyniku parowania substancji balsamicznych — mirry i aloesu —na płótnie pozostały dwie odbitki Ciała Chrystusowego: od strony twarzy i od strony pleców; odbitki sepiowe w kolorze, które — mimo upływu długiego czasu i licznych podróży Całunu — pozostały dotychczas wyraźnie widoczne. Dla gołego oka jednak oba odciski nie przedstawiają kształtu portretowego. Gdy po raz pierwszy sfotografowano Całun (w czasach, kiedy zasady negatywu fotograficznego nie były jeszcze znane) nastąpiło coś w rodzaju konsternacji. Na kliszy oczekiwano negatywu postaci Chrystusowej, tymczasem otrzymano pozytyw: okazało się, że sam Całun stanowi coś w rodzaju negatywu fotograficznego twarzy i ciała Chrystusa Pana. Jest to jedyna postać historyczna starożytności, której fotografia zachowała się do naszych czasów.

Po dokonaniu tego doniosłego odkrycia uczeni przeprowadzili liczne badania i eksperymenty z Całunem w celu ustalenia rodzaju i znaczenia szczegółów odbitych na lnianym płótnie. Prace te potwierdziły autentyczność biczowania, cierniem koronowania i przebicia gwoździami przegubów dłoni (nie samych dłoni). Udało się także dokonać pomiaru wzrostu Chrystusa Pana, zidentyfikować rodzaj płynu („wody“), który wypłynął z Jego boku i ustalić, że zgon Zbawiciela — w sensie medycznym — nastąpił w wyniku urazowego szczękościsku i w wielkiej gorączce.

Długometrażowy film mógłby pokazać wszystkie te badania w sposob zupełnie szczegółowy. Gedda wolał jednak zanotować tylko rzeczy najbardziej istotne, które wbijają się w pamięć milionów, oglądających filmy w kinematografach całego świata. Dla przygotowanych naukowo widzów film będzie stanowił okazję do sprawdzenia, a może rozszerzenia naukowych wniosków drogą poważnych studiów.

Vitaliano Rovigatti twierdzi, że wszystkie naukowe opracowania dotyczące historii Całunu Turyńskiego nie posiadają tej przekonywującej potęgi, jaką zawarto w 300 metrach omawianego filmu. Został on wyświetlony na Międzynarodowym Kongresie Lekarzy Katolików w Rzymie i spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem.

Specjalna wdzięczność należy się młodemu reżyserowi włoskiemu Marcelowi Baldi (ten sam, który był pomocnikiem Balssetiego w filmie „Fabiola“). Mając do dyspozycji tylko dokumenty —, potrafił stworzyć z nich dobrze wyważoną w szczegółach całość, opatrzoną komentarzem, który dzięki swej zwartości nabiera miejscami barwy wysoce dramatycznej.

Przygotowano wiele wersji językowych tego filmu i wkrótce będzie on znany na całym świecie.

W związku z tą piękną imprezą filmową warto zaznaczyć, że w roku bieżącym odbył się w Rzymie specjalny kongres dla omówienia i zestawienia najnowszych badań nad Całunem Turyńskim. Po powrocie z Rzymu do Kraju ks. prof. E. Dąbrowski udzielił wywiadu dziennikowi reżymowych katolików „Słowo Powszechne“, twierdząc, że „uczestnicy (tego kongresu) stanęli przed groźnym dylematem: autentyczność Całunu lub Ewangelii św. Jana“.

„Wszyscy egzegeci — ciągnął ks. Dąbrowski (cytuję według tygodnika „Dziś i Jutro“) —, bez różnicy kierunków są zgodni w tym względzie i ich zdanie musi być miarodajne. Nie znaczy to, żeby można było przejść obojętnie wobec badań medyków i chemików. Ale słowo ostatnie mieć będzie zawsze Ewangelia św. Jana“.

Komentując tę wypowiedź polskiego biblisty, Jan Dobraczyński słusznie zarzuca ks. Dąbrowskiemu (na łamach „Dziś i Jutro“) jednostronność. Oto trzon rozumowania Dobraczyńskiego:

Różnica między egzegezą biblijną opartą na tekście św. Jana a hipotezą prawdziwości Całunu sprowadza się do maleńkiego szczegółu. Mianowicie Całun jest jeden, zaś św. Jan mówi o „prześcieradłach“, a także o chuście, „która była na głowie Jego“ (Jan, 27, 7).

„Wielkie szczęście — pisze Jan Dobraczyński —, że spór został doprowadzony do tego miejsca i że nie ma już mowy o niepoważnych, w najwyższym stopniu humorystycznych wywodach o. F. M. Brauna, podchwyconych przez H. Daniel-Ropsa („„że...) obraz na Całunie miał powstać drogą następującą: nieznany artysta z trzynastego wieku nakrył płótnem niezidentyfikowaną rzeźbę Chrystusa, nasyciwszy ją uprzednio nieznanym płynem barwiącym, po czym „lekkim dotknięciem dłoni“ przeniósł na płótno odbicie konturu rzeźby. Zabawna i kompromitująca ta teoria na szczęście znikła już z poważnych rozważań(...) Paweł Claudel słusznie pisze w liście do Girard Cordonnier (16.8. 1935): „To ON! To Jego Twarz! Czujemy, że jesteśmy przed oryginałem, wobec którego wszystkie interpretacje artystyczne, nawet pełne szczerości, są częściowe i niedołężne, niby nędzne naśladownictwa. Chrystus da Vinciego, Dürera i Rembrandta odpowiada pewnym częściom Ewangelii. Ten odpowiada wszystkim. Więcej — On nad nim panuje“.

Jeśli chodzi o spór egzegetyczny, to — zdaniem Dobraczyńskiego — nie należy go przeceniać. Znakomity, a na Zachodzie dotąd niedoceniany badacz — R. H. Hynek —, którego powojenne prace pt. „Muž Bolesti“ i „Telesny Zjaw Kristuv“ zyskały błogosławieństwo i pochwałę Stolicy Apostolskiej rozwiązuje trudność z wieloma prześcieradłami. Abstrahując od jego wywodów, Dobraczyński stawia hipotezę, że Ciało Chrystusa owinięte było w jeden Całun, po czym kilkakrotnie przewiązane po wierzchu innymi prześcieradłami (co tłumaczy nawet oba czasowniki łacińskie „involvit“, owinął, użyty u Synoptyków oraz „lingaverunt“ — przewiązali, użyty przez św. Jana), aby Całun nie rozchylał się a krew nie wyciekała(...) Głowa mogła być również przewiązana chustą w ten sposób, że okalała ją wzdłuż (pod brodę i po wierzchu głowy), służąc zamknięciu ust. W ten sposób jej obecność nie przeszkadzałaby powstaniu odbicia Twarzy.

Na wspomnianym wyżej kongresie odczytany był referat dra Hynka i wygłoszone było przemówienie dra Potra Barbet, członka Komitetu Badań nad św. Całunem i autora książki „Le Cinq plaies du Christ“. Kongres zalecił rozpowszechnianie reprodukcji Całunu i organizowanie uroczystości religijnych poświęconych Jego czci. Wszystko to mówi, że „dylemat“, o którym wspomniał ks. E. Dąbrowski, jest jedynie kłopotem wąskiego kręgu zawodowych specjalistów i można go im zostawić. Takich kłopotów w biblistyce jest więcej.

Całun Turyński był natchnienieniem szeregu plastyków i nadal wywiera wpływ na sztukę katolicką, by wymienić tylko obrazy E. Schovanka, T. Kordyasza i rzeźbę K. Villandre.

Papież Pius XI, mówiąc o Całunie do przedstawicieli włoskiej Akcji Katolickiej w dniu 7 października 1936 roku, oświadczył, że jest to „rzecz święta, jak może żadna inna na świecie — przedmiot jeszcze tajemniczy, lecz to pewne, że nie uczyniony ręką ludzką“. (sp)

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

81.000 PIELGRZYMÓW Z FRANCJI

Do obecnej chwili, 81.000 osób wzięło udział w pielgrzymkach na Rok Święty do Rzymu z Francji. Niektóre pielgrzymki udały się do Rzymu piechotą.

Liczba pielgrzymów francuskich w Roku Świętym świadczy, że katolicyzm francuski jest mimo wszystko siłą potężną.

Ogółem, jak dotąd 1300.000 pielgrzymów odwiedziła Rzym, — nie licząc tych, którzy nie wykupili „legitymacji“, a więc nie są objęci statystyką. Jest to liczba rekordowa, — zwłaszczą wobec faktu, iż z 12 krajów europejskich do których należy i Polska pielgrzymki były zakazane.

AFRYKAŃSKIE LOURDES

W angielskiej kolonii Złotego Wybrzeża w Afryce, — w kraju, w którym Kościół katolicki tak się już utrwalił, że w bieżącym roku ustanowiona tam została regularna hierarchia kościelna zamiast dotychczasowej administracji misyjnej, — narodziło się nagle nowe, żywotne miejsce pielgrzymkowe we wsi Buoho koło miasta Kumasi.

Miejscowy ksiądz, D. K. Tawiah-Yesereh, pierwszy członek murzyńskiego plemienia Ashanti, wyświęcony na kapłana zbudował tam grotę na wzór Lourdes. Grota ta i figura Matki Boskiej stały się miejscem pielgrzymek. W ostatnich czasach 17.000 pielgrzymów murzyńskich, katolików, odwiedziło Buoho.

Zbudowane zostało duże schronisko dla pielgrzymów, a teraz buduje się tam gmach Akcji Katolickiej, wraz z biblioteką. Będzie to główne centrum Akcji Katolickiej diecezjalnej. Ks. Tawiah-Yesereh, którego rodzice są dotąd poganami i który nawrócił się na katolicyzm, gdy miał 12 lat, jest diecezjalnym dyrektorem Akcji Katolickiej. Akcja Katolicka w diecezji Kumasi stawia sobie za cel dalsze rozprzestrzenianie wiary katolickiej wśród pogan, oraz wyplenianie reštek szkodliwych pojęć pogańskich z dusz katolickich.

W chwili obecnej, 11 młodych członków plemienia Ashanti kształci się na księży, z tego jeden w kolegium De Propaganda Fide w Rzymie, a 10 w Seminarium diecezjalnym w Amisano.

MATKA LUCIA W SALERNO

Pewna Włoszka w Salerno pod Neapolem była świadkiem bitwy pod Salerno we Włoszech w roku 1943 i widziała, że wielu poległych żołnierzy niemieckich pochowano nierozpoznanych.

Dwaj jej synowie przepadli na wojnie bez wieści. Włoszka ta uczyniła ślub, że jeśli jej synowie odnajdą się żywi, to ona zajmie się odkopaniem tych poległych Niemców, aby zawiadomić ich rodziny.

Obaj jej synowie z wojny wrócili. A wobec tego ich matka odkopuje teraz zwłoki Niemców. Odkopała już 578 zwłok i przy pomocy władz kościelnych, po ustaleniu ich identyczności, stara się odszukać ich rodziny.

Włoszka ta ukrywa się pod pseudonimem „Matka Lucia“. Nazwisko jej nie jest szerszemu ogółowi znane.

BENEDYKTYŃSKI ZNAWCA GAELICKIEGO JĘZYKA

Zmarł w opactwie benedyktyńskim w Fort Augustus Abbey w Inverness-shire w Szkocji, w wieku lat 81, Ojciec Cyryl Dieckhoff, O.S.B., najwybitniejszy znawca języka celtyckich górali szkockich, — języka gaelickiego. Był on autorem podstawowego słownika gaelickiego, mającego zasadnicze znaczenie w dziejach językoznawstwa gaelickiego.

Czytelników „ŻYCIA“ zapewne zainteresuje wiadomość, że nie był on Szkotem lecz Rosjaninem niemieckiego pochodzenia i synem luterańskiego pastora w Moskwie. Nawrócił się na katolicyzm — a ponieważ było to jeszcze przed dekretem o tolerancji z roku 1905, musiał z Rosji emigrować. Osiedlił się, temu ze sześćdziesiąt lat, w Szkocji i z czasem wstąpił do zakonu Benedyktynów.

NOWE FILMY

„TRIO“ S. Maughama

Kino: „Leicester Square Theatre“.

(jako dodatek — film o Japonii)

NIE lubię Sommerseta Maughama, choć napisał parę dobrych książek (jak „Moon and Sixpence“, albo „Cakes and Ale“ i in.). Jest to doskonały rzemieślnik pióra, mistrz krótkiego opowiadania i noweli, dobry obserwator i podpatrywacz ludzi, a nawet chwilami niezły psycholog. Przy tym wszystkim — to pisarz w gruncie rzeczy cyniczny, zimny i bardzo przyziemny: nie tylko nie ustawia wartości w jakimś wyższym porządku rzeczy, ale wystrzega się tego usilnie redukując przy każdej okazji człowieka o jeden wymiar; jest klasycznym przedstawicielem angielskiego „czworołapstwa“ (przypominam moją teorię, że Anglicy chodzą na czworakach i to z nosami przy ziemi). Za dziesięć, dwadzieścia lat nie wiele będzie się chyba słyszało o S. Maughamie — zarówno jako o lekarzu (należy do cechu chirurgów, a ponadto ma bodaj także M.D.), jak i o opowiadaczu anegdotek (większość jego krótkich utworów należy do tej kategorii), choć Maugham jest kokiet nielada i potrafi bawić publiczkę zręcznym wyciąganiem point i świetnymi trickami.

Nawet teraz, już jako starzec pod osiemdziesiątkę, pojawił się osobiście na ekranie (jak uczynił to poprzednio przy swoim „Kwartecie“, ogłoszonym wprędce w Anglii za kasową klapę, ale cieszącym się powodzeniem w Ameryce), by zapowiadać swe trzy nowelki: „The Verger“ (w tym przypadku „Kościelny“), „Mr. Knowall“ i „Sanatorium“. Wracając do staruszka Maughama, muszę powiedzieć, że albo sam nie ma wyczucia wartości swych utworów (co bardzo często się zdarza pisarzom), albo ma fatalnych doradców. Historyjka kościelnego, który po siedemnastu latach nienagannej służby w jakimś kościele zostaje nagle zwolniony, bo nowy proboszcz wykrywa, że onże (kościelny — zagrany przeciętnie przez James Heytera) jest analfabetą, lecz następnie robi fortunę jako handlarz tytoniem — jest błaha, uboga i niemal trywialna. Nie wiadomo poco została napisana, a tym bardziej sfilmowana. Już nieco lepiej (a pod względem gry aktorskiej o niebo lepiej — koncert charakterystyczny Nigela Patricka) przedstawia się noweletka o okrętowym blagierze, który narzuca się otoczeniu, aranżuje i organizuje, a przede wszystkim zna się na wszystkim. Gdy zazdrosny mąż pewnej cnotliwej damy (nie wymienię nazwiska aktorki, bo gra dosyć kiepsko) zakłada się z panem blagierem, że żoniny naszyjnik z pereł jest imitacją nabytą na tandecie na „Oxford Street“ — w Kaledzie (bo tak się nazywa natręt „wszystkowiedek“) budzi się człowiek współczujący: ratuje wystraszoną kobietę i orzeka — wbrew rzeczywistości — fałszywość owego klejnotu. Pokaz gry N. Patricka jest świetny, ale pointa — zbyt literacka i finezyjna — nie wychodzi dość plastycznie na filmie. Najlepsza i rzeczywiście godna widzenia jest trzecia, o wiele dłuższa od tamtych — nowela „Sanatorium“. Tu widać lwi pazur lekarza (a zarazem pacjenta, bo Maugham chorował na gruźlicę i sam przebywał długo na zamkniętej kuracji), który zna się na tego rodzaju fenomenach psychopatologii jak ucieczka w chorobę i na takich wykoślawieniach życia uczuciowego jak egoistyczne, brutalne aż do okrucieństwa „samowspółczucie“, roztkliwianie się nad sobą chorych i hipochondryków. Na tle całej menażerii typów tego rodzaju snuje się wątła nić flirtu, miłości i małżeństwa dwojga suchotników, którzy postanawiają się pobrać mimo, że ma to im skrócić życie do paru, czy kilku miesięcy. W tej trzeciej części „Tria“ pisarza Ashendena (porte - parole samego autora) gra p. R. Culver, a panna Jean Simmons — pupilka reklamiarzy brytyjskich — daje klasyczny popis „temperamentu“ Anglosasów, który gorętszym narodom wydaje się kiepskim żartem lub celową parodią. Sekunduje jej równie ślamazarnie pan M. Rennie. Reżyserowali: Ken Annakin i Harold French.

„THE DAMNED DO NOT CRY“

Jest to historia wampa, uwodzącego kolejno trzech głuptasków, zagrana według tradycyjnego szablonu przez pannę Crawford, artystycznie bezwartościowa, moralnie odrażająca i stanowczo nie warta paru szylingów i 89 minut czasu.

„COLT 45“

Kino: „Warner Theatre“ Produkcja: „Warner Bros“. Reżyser: Edwin L. Marin.

ZAUWAŻYŁEM, że po każdym filmie amerykańskim „z Dzikiego Zachodu“ wychodzę z kina odświeżony, choć nie wzbogacony wewnętrznie. Uczucie to żenowało mnie trochę, bo nie lubię filmów kowboyskich ani gangsterskich i staram się zbywać je jak najkrótszymi recenzjami. Chcąc sprawdzić przyczyny takiego — bądź co bądź korzystnego oddziaływania „Westernerów“ na mój, nieco przemęczony organizm (bo przecież nie na psychikę), bardzo uważnie oglądałem ostatni obraz tego rodzaju — „Colt 45“. Oto wyniki — refleksje, które notuję na gorąco gwoli szerszego rozwinięcia przy lepszej sposobności.

Filmy z „Dzikiego Zachodu“, choć produkowane w 99 procentach według powtarzających się w kółko sztamp, choć często nieprawdopodobne w swej jednostronności i przesadzie i jako całość nieartystyczne — płyną istotnym nurtem sztuki filmowej. Porównanie z bzdurnymi komediami i melodramatami bandyckimi wychodzą z reguły na korzyść „westernerów“ i to zarówno pod względem poziomu jak i wydźwięku etycznego (może raczej należałoby powiedzieć — posmaku etycznego, bo trudno tu mówić o świadomych zamierzeniach etycznych). Dlaczego? Bo obrazy te są bardzo filmowe: dają — często w dobrej proporcji — istotne elementy języka filmowego: specyficzny rytm i tempo właściwe tylko filmowi, kondensację efektów wizualnych przy zdecydowanej oszczędności dialogów, plener (niekiedy piękny, prawie zawsze pełen rozmachu i przyjemnej zmienności) i w ogóle zbliżenie do natury (konie, zwierzęta). To wszystko sprawia, że filmy tego typu działają na zmęczonego przerafinowaniem cywilizacji miejskiej człowieka jak odtrutka. Myślę, że obrazy tej kategorii — oczywiście tylko najlepsze — znajdą stałe miejsce w historii sztuki filmowej .

Warto jeszcze dodać, że propagujące „męską krzepę“ filmy amerykańskie oddziaływują także na życie w dodatnim — przynajmniej obecnie — kierunku: jeśli żołnierze amerykańscy biją się dobrze, to zawdzięczamy to m. in. hałaśliwym, nabrzmiałym od rozhukanych koni i mężczyzn kinowym historiom z „Dzikiego Zachodu“.

„Colt 45“ jest jednym z najlepszych przedstawicieli swego gatunku. Ma nawet pewne novum: tym razem Amerykanie są źli i skorumpowani, a porządek w mieście rządzonym przez stowarzyszonego z opryszkami szeryfa przywraca szlachetny szczep indiański w spółce ze szlachetnym handlarzem nowego typu pistoletu — 6-cio strzałowego kolta (Randolph Scott). Obowiązkową rolę żeńską w tym, ostatecznie strawnym bigosie powierzono — z dość dobrym skutkiem — Ruth Roman.

SZELMY Z SHERWOOD FOREST

(Rogues of Sherwood Forest)

Kina: Gaumont i Marble Arch Pavillion.

WIEK XIII, kostiumy, syn Robin Hooda, szajka opryszków, pojedynki, pościgi, machanie dzidami i mieczami, wykręcanie angielskiej historii w fantastyczny sposób. W sumie — amerykański kręciołek kostiumowy.

St. Pał.

NA MARGINESIE

OKALECZONY KADŁUB

BYŁO to tak. Główna polityczna Komisja Europejskiego Zgromadzenia przedstawiała Zgromadzeniu sprawozdanie, opatrzone nader skromnymi rezolucjami zmierzającymi do posuwania się w kierunku zespolenia Zachodniej Europy. Skromność postulatów zawdzięczać należało wpływowi brytyjskich socjalistów z p. Daltonem na czele. Osiągnięto kompromis i w komisji Brytyjczycy głosowali za rezolucjami. Ale gdy przyszło do głosowania na plenum, p. Dalton wyszedł z sali, a jego socjalistyczni koledzy wstrzymali się od głosowania.

Chociaż za rezolucjami padło 94 głosy bez sprzeciwu przy 12 wstrzymujących się od głosowania, socjalista p. Guy Mollet złożył demonstracyjnie swój mandat sprawozdawczy, a p. Bidault przewodniczący zwracając się do Brytyjczyków zapytał: „połóżcie karty na stół i powiedzcie nam jaki jest wasz stosunek do Unii Europejskiej?“ Zainterpelowani milczeli, a pośrednio na to pytanie odpowiedział b. premier francuski p. Reynaud. Kiwając ręką w stronę p. Daltona rzekł: „Mówią nam — idźcie naprzód, Francuzi, i budujcie gmach Europy. Jeśli będzie wygodny, przeniesiemy się do pokoju, zarezerwowanego dla nas. Jeśli gmach się zawali, będziemy na waszym pogrzebie. Dobrze! Weźmiemy na siebie to ryzyko i pójdziemy naprzód“.

Co tu prawić o gmachu Europy! Słusznie zauważył niemiecki delegat p. Carlo Schmid „że dopóki Praga, Warszawa, Budapeszt, Lipsk i tyle innych miast nie będą reprezentowane w Zgromadzeniu, dopóty Europa będzie tylko okaleczonym kadłubem“.

„MALIKOWAĆ“

PREMIERZE filmu „Tajna misja“ przyglądało się w Moskwie 10.000 „rozentuzjazmowanych“ widzów. W 25 kinach moskiewskich film cieszy się ogromnym powodzeniem. Bohaterem głównym jest Churchill. Błaga on w 1945 Stalina, by ofensywą na wschodzie ratował front aliancki w Ardenach. Jednocześnie amerykański senator prowadzi w Berlinie tajne rokowania z Himmlerem. Planują oni wspólny front na Zachodzie przeciw Stalinowi w zamiarze zapewnienia sobie panowania nad Polską, Czechami i Bałkanami. W końcowej patetycznej scenie Churchill przyznaje, że 30 lat poświęcił walce z Rosją i że znowu trzeba będzie wszcząć nową wojnę, która „choć łatwo ją wywołać, może pochłonąć połowę ludności świata“.

Są dziś w ręku Amerykanów dowody, że właśnie w 1945 Stalin za pośrednictwem Japończyków prowadzi w Stokholmie rozmowy z Hitlerem. Wszystko wskazuje na to, iż nie liczył on na pomyślny ich wynik, ale zdobył w ten sposób znakomity środek nacisku na przerażonych tą wiadomością Roosevelta i Churchilla.

Słowa „bezczelnie łgać“, czy w ogóle „łgać“ zastąpiono w Stanach Zjednoczonych nazwiskiem sowieckiego delegata do Zgromadzenia Narodów. Mówi się obecnie: „to malik“ i wiadomo co to znaczy.

DEMOKRACJA I KARABIN

„FRANKFURTER ALGEMEINE ZEITUNG“ przypomina, jak to przed pięciu laty każdego Niemca, który schował w ogrodzie dubeltówkę zamiast oddać ją władzom okupacyjnym, oskarżano o nazizm i uważano za wroga demokracji. „Ale dzisiaj, dodaje to pismo, jak marnym demokratą jest Niemiec, który oświadcza, że nie chce nosić broni“.

Pęd ku demokracji i zamiłowanie do broni są dzisiaj w Niemczech w ścisłej zależności od ilości amerykańskch pancernych dywizji nad Łabą i Renem.

X.Y.Z.

NOTATKI

WALKA O DUSZĘ DZIECKA

PRZECZYTAWSZY w ostatnich „Notatkach" niezwykle trafne uwagi o „Dwu Mariach", pragnę kilku szczegółami uzupełnić sprawę 13 letniej Berty Hertogh, znalezionej w dżungli malajskiej pod opieką niani Aminah i wydanej przez nią za mąż za młodego malajskiego nauczyciela, muzułmanina Manssor Abibi, wybierającego się na studia do Anglii. Polscy czytelnicy prasy angielskiej, karmieni sentymentalnymi opisami przywiązania dziewczynki do „niani" i fotografiami uśmiechniętej „pary małżeńskiej", mogli nabrać przeświadczenia, że chodzi tu o wypadek niedbalstwa rodziców, którzy nie potrafili zagubionego dziecka odszukać; mogli też nabrać sympatii dla przywiązanej „niani", która dziecku „zastąpiła" matkę.

W istocie sprawa wygląda inaczej. Jest to rzeczywiście jak pisał autor uwag X.B.K., tragedia katolickiej rodziny, która walczy o duszę dziecka.

W chwili zajęcia Indonezji przez Japończyków Hertoghowie mieli sześcioro dzieci i spodziewali się siódmego. Wśród chaosu pierwszych dni okupacji przeżyli wiele kłopotów. Malajka Aminah, rozwódka, dawniej nazywająca się Maroef, która wcale nie była nianią małej Berty, zaprosiła dziecko na trzy dni do siebie, rzekomo aby ulżyć matce. Gdy mała w ciągu 5 dni nie wróciła, matka pojechała po nią na rowerze, by ją zabrać do domu. Po drodze jednak, na ulicy, została aresztowana i znalazła się w japońskim obozie koncentracyjnym.

Po długich wysiłkach, pani Hertogh zdołała doprowadzić do tego, że sześcioro spośród jej dzieci znalazło się wraz z nią, w tym samym, co ona obozie. Ale Berty ściągnąć do siebie nie zdołała. Aminah odmówiła jej zwrócenia. Miała ona dobre stosunki z władzami japońskimi: wstąpiła do Kempe Jhai, japońskiego S.S.

Po wojnie wszelki ślad po Aminah i Bercie zaginął. Państwo Hertogh z dziećmi zostali repatriowani do Holandii.

Gdy się Bertha odnalazła, Hertoghowie zażądali od angielskiego sądu w Singapore oddania im dziecka. W pierwszej instancji wygrali. Ale druga instancja, z przyczyn nie zasadniczych, lecz proceduralnych, postanowiła wydać dziecko nie rodzicom, lecz Aminah, co zostało natychmiast wykonane.

W tym samym dniu Aminah wydała dziecko za mąż za muzułmanina. Berta twierdzi o sobie, że jest muzułmanką i że z katolicyzmem, w którym została ochrzczona, zerwała... Małżeństwo 13-letniej dziewczynki jest wśród muzułmanów ważne, ale wedle praw katolickich nieważne.

Państwo Hertogh walczą teraz o unieważnienie tego małżeństwa i o wydanie im dziecka. Jest to rodzina niezamożna — katolicy holenderscy zbierają więc składki na proces.

(jg.)

CUD NAD WISŁĄ

JESZCZE niedawno, bardzo niedawno temu, nie wypadało mówić i na emigracji, (jak poprzednio przed tą wojną w Polsce) o Cudzie nad Wisłą. Wiele tak zwanych „czynników'' uważało, że wspominać o Cudzie, że wyrażać własne myśli i przeżycia z roku 1920, to znaczy godzić w honor narodowy, uwłaczać czci wojska polskiego.

Stawiano bowiem wtedy na Dzieci Wdowy.

Zmieniły się jednak czasy. I teraz znów gwałtownie pragnie się przytulić do Kościoła.

Ale niezależnie od tych skoków i przekładni myślowych „oficjalnych'', od meteorologii nastrojów i humorów, Cud Wisły jak był tak jest. I jak był ogłaszany za widoczny znak opieki i łaski Bożej tak, równocześnie, tonął w fali niewdzięczności. Przez 20 lat niepodległych obiecanej świątyni Opatrzności nie zaczęto budować nawet w myśli. Być może, że konstytucja 3 Maja, gdy lepiej poznano jej genezę, nie ze wszystkim była warta hołdów jej składanych. Ale niepodległość była faktem. Jak konstytucja majowa tak i Cud nad Wisłą był przedmiotem różnych akademij i czczych demonstracyj, wykorzystywanych nieraz przez różne partie jako okazje do zrobienia ‚na złość' tym, którzy w inną stronę krzyczeli swoje „Chwała, Chwała"! Kto jednak w tym wszystkim myślał o tym, aby, co najistotniejsze, zespolić dobitniej Najśw. Pannę Wniebowziętą z nową Polską?

Starajmy się przynajmniej na emigracji w duchu Polski jako nadprzyrodzonego Królestwa Marii wypełnić śluby Jana Kazimierza i szerzyć przede wszystkim świadomość ważności tego, co filozofowie nazywają „przygotowaniem duszy", a więc prawdziwą i konieczną atmosferą do ich wypełnienia kiedyś.

Włodzimierz Dołęga

„Z ANGLII"...

Jak podał dziennik „Daily Mail“, w demonstracji studentów europejskich pod Strasburgiem, polegającej na symbolicznym obaleniu słupów granicznych jednoczącej się Europy, zanotowano jeden, maleńki, ale charakterystyczny zgrzyt. Podczas apelu przybyłych z różnych krajów studentów każdy z nich wymieniał głośno nazwę miasta, z którego przyjechał, dodając nieodmiennie „w Europie“. Wołano więc: „Przybywam z Turynu w Europie“, albo „z Paryża w Europie“. Jedynie student angielski zawołał: „Przybywam z Brighton w Anglii“ Przypadkowe przejęzyczenie — być może. Ale jakże uzasadnione i charakterystyczne.

St. Pał.

ZAPISKI LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatnego okresu

PRZYSZŁOROCZNE UROCZYSTOŚCI KULTURALNE

Festival Wielkiej Brytanii, który trwać będzie od maja do września r. 1951, nie ograniczy się do Londynu. Przewidzianych jest szereg imprez kulturalnych o charakterze bądź ogólnym bądź regionalnym w całym kraju. W Anglii osobne festivale muzyki i sztuki organizują miasta Aldeburgh, Bath, Bournemouth, Cambridge, Canterbury, Liverpool, Norwich, Oksford i York. W Cheltenham odbędzie się doroczny festival brytyjskiej muzyki współczesnej, w Worcester festival „trzech chórów''. Doroczny sezon przedstawień szekspirowskich w Stratford-on-Avon będzie przygotowany szczególnie starannie. Wędrowne wystawy lądowe przygotowywane są w Manchesterze, Leeds, Birmingham i Nottingham, wędrowne wystawy morskie w Newcastle-upon Tyne, Hull, Southampton, Plymouth i w Bristolu.

W Szkocji poza Edynburgiem festivale sztuki urządzają miasta Aberdeen, Dumfries, Inverness i Perth. W Edynburgu odbędzie się zjazd klanów szkockich; organizowana jest też wystawa książek XVIII-wiecznych oraz wystawa architektury i tradycyjnych rzemiosł szkockich. W glasgowskiej Kelvin Hall otwarta będzie wystawa energetyczna; nadto Glasgow urządza wystawę książek współczesnych.

Przewidzianych jest wiele imprez o charakterze regionalnym w Walii. W Llanrwst odbędzie się Królewski Narodowy Eisteddford, t.j. zawody w dziedzinie poezji, pieśni i tańca. Llangollen gościć będzie Eisteddford międzynarodowy. Wystawy i festiwale przygotowują miasta Cardiff i Swansea. Również stolica północnej Irlandii, Belfast nie pozostanie pod tym względem w tyle.

W samym Londynie głównymi imprezami będą: wielka wystawa po południowej stronie Tamizy; wystawa nauk ścisłych w nowowybudowanym skrzydle Science Museum (South Kensington); wystawa architektury w Poplar; wystawa książek w Victoria and Albert Museum. W miesiącach maju i czerwcu odbędzie się wielki festival sztuki, nadto w organizacji jest również festival filmowy.

O KOŚCIELE KATOLICKIM W „CHAMBERS'S ENCYKLOPAEDIA“

„Times Literary Supplement" poświęca nowemu wydaniu encyklopedii Chambersa dłuższy artykuł, w którym m.in. stwierdza, że zagadnienia religijne traktowane są w niej z wielką bezstronnością. „Pod względem intelektualnego poziomu — podkreśla autor recenzji — niewiele tylko opracowań z tego zakresu porównać można z artykułem Ks. D'Arcy o Kościele Rzymsko-Katolickim, który jest wzorem tego, czym być winien artykuł w encyklopedii. Temat nie jest potraktowany historycznie, ale ściśle z punktu widzenia dogmatów. Artykuł nie próbuje argumentować, ale definiuje postulaty, stawiane dziś przez Kościół, z namiętnym obiektywizmem rozprawy matematycznej".

LUDZIE BIALI I TUBYLCY

Pojawiła się interesująca książka A. Grenfel Price'a: „*White Settlers and Native People*" (Cambridge University Press, cena 25 s.), stanowiąca dzieje stosunku białych osadników do plemion tubylczych w Ameryce, Australii i Nowej Zelandii. Wbrew dosyć rozpowszechnionym poglądom autor stwierdza, że osadnicy anglosascy nie byli wcale lepsi w traktowaniu Indian amerykańskich od Hiszpanów. Tam, gdzie osiedlali się zarówno Anglosasi jak Hiszpanie, np. w Florydzie i Kalifornii, Hiszpanie, zdaniem autora, zachowywali się nawet lepiej.

Od pewnego jednak czasu położenie ludów tubylczych uległo znacznej poprawie. Liczba Indian w Północnej Ameryce przed przybyciem Kolumba oceniana jest na ok. 845.000; do końca XIX stulecia skurczyła się ona do 244.000, t.j. niewiele więcej niż jednej czwartej. Od tego czasu zaczyna się znowu wzrost; statystyka z roku 1938 wykazuje na terenie Stanów Zjednoczonych już 352.000 Indian.

Podobny proces przeszli Maorysi na Nowej Zelandii. Przed przybyciem białych było ich przypuszczalnie ok. 200.000; cyfra ta do końca XIX w. stopniała do 37.500. Obecnie jednak wynosi ona już 106.00, przy czym Maorysi mają przyrost naturalny dwukrotnie wyższy od białych. Jedyny wyjątek stanowi Australia, gdzie liczba ludności tubylczej nadal spada.

Grenfell Price stwierdza, że wśród Indian Amerykańskich i Maorysów w miarę ich przyrostu liczebnego odradza się duma szczepowa i kult dawnych tradycji. W ten sposób powstać może zagadnienie nowych mniejszości rasowych czy narodowych, złożonych z potomków dawnych gospodarzy tych krajów.

NOWY TOM TETRALOGII SARTRE'A

Pt. „*Iron in the Soul*" pojawił się w przekładzie angielskim trzeci tom tetralogii powieściowej J. P. Sartre'a (Hamish Hamilton, cena 12s. 6d.). Tetralogia ta, której tytuł ogólny brzmi „Droga do Wolności", rozgrywa się na tle wydarzeń ostatniej wojny; stanowi ona, jak do tej pory, jedyną wielką powieść, osnutą na przebiegu tej wojny.

W tomie trzecim mamy znów szereg postaci, których historię autor potraktował z punktu widzenia głównego postulatu egzystencjalizmu: dokonania przez jednostkę wolnego wyboru. Jeden z bohaterów. Brunet organizuje w zajętej przez Niemców Francji komórkę komunistyczną, złożoną z współwięźniów. Inna postać powieści, wrażliwy i inteligentny Mathieu, w przystępie desperacji poczyna ostrzeliwać Niemców z wieży kościoła wiejskiego i zostaje przez nich zabity. Używając słów autora, „umiera on, by dowieść niemożliwości życia". Wątpić należy, czy sam Sartre solidaryzuje się ideowo z tym „aktem wolnego wyboru". Postawę swą, znaną zresztą z jego artykułów i niedawno wydanej rozprawy o literaturze, zarysuje on prawdopodobnie wyraźniej w czwartym i ostatnim tomie tetralogii.

W rzymskim teatrze...

WUBIEGŁĄ niedzielę zatelefonował do mnie przyjaciel:

— Może wybrałbyś się dziś do teatru? — zapytał.

— O ile wiem, to w Anglii wszystkie teatry w niedzielę są zamknięte — odpowiedziałem.

— Owszem, ale teatr, do którego cię zapraszam, jest otwarty nie tylko w niedzielę, lecz również przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, a istnieje blisko dwa tysiące lat. No więc co, pojedziesz?

Zgodziłem się bez wahania.

Zielonym autobusem udaliśmy się z Londynu do oddalonej o niespełna godzinę jazdy miejscowości St. Albans. Stąd pieszo krętą, wijącą się serpentyną, wąską ulicą, ocembrowaną podmurowaniem, spłynęliśmy w dół, niczem łożyskiem wyschniętej rzeki, do prawiecznej siedziby rzymskich najeźdźców Brytanii — Verulamium.

Wśród szeroko rozlanej zielonej przestrzeni łąk, pokrytych czerwonymi makami, gdy w oddali ciągnie się długi i szeroki trakt zbudowany rękami żołnierzy cezara, znajdują się ruiny rzymskiego teatru. Pomiędzy zarosłymi trawą szczątkami kolumn i kamiennych ławek dostrzec można zachowaną orchestra, scenę, schody do niej wiodące i miejsce dla publiczności. Teatr ten, zbudowany został przez rzymskich najeźdźców około 150 roku A. D. w założonym tu przez nich mieście-obozie. O ile w Anglii znajdują się ruiny kilku cyrków, w których odbywały się igrzyska sportowe, zapasy i walki dzikich zwierząt, to teatr w Verulamium jest jedyny w całej Wielkiej Brytanii.

W czwartym wieku teatr ten został zburzony przez Saxonów, a cenny budulec użyto na wystawienie pobliskiego kościoła. Szczątki teatru, kapitele korynckich kolumn, porosłe mchem, pokryła bujna, wysoka trawa, a z czasem okoliczni wieśniacy zasypali grudami szarej ziemi. Odnalezienie ruin i pierwsze prace wydobywcze przeprowadzono dopiero w pierwszej połowie ubiegłego stulecia i dziś wspaniale utrzymane wykopalisko przyciąga stale setki zwiedzających.

Kamienny teatr jedyną, ostałą się niszczącej sile czasu strzaskaną kolumną majestatycznie wznosi się nad seledynowym morzem rozległych łąk. W pobliżu na murawie, gdzie niegdyś ćwiczyły centurie cezara, biało ubrani sportowcy grają w kriketa, a na kamiennych ławkach audytorium, gdzie zasiadali rzymscy senatorowie, siedzą pary niedzielnych wycieczkowiczów, w milczeniu pokrzepiając się herbatą z mlekiem, przywiezioną w termosach i białym chlebem, cienko posmarowanym śliwkowym dżemem.

Gdy opuszczałem Verulamium-antyczne wykopalisko — kamienny sarkofag jakżeż dawno zmarłej tu Melpomeny, dostrzegłem przy wyjściu przybitą na słupie drewnianą skrzynkę z napisem: „Letters for The Roman Theatre only“. — „Tylko na listy do rzymskiego teatru“. Skrzynka była pusta. Widocznie nie często zdarzają się chętni nawiązania korespondencji z dyrekcją lub aktorami teatru, spalonego tysiąc sześćset lat temu.

Tadeusz Wittlin

1284 PRZEDPŁATY NA KSIĄŻKĘ GIERTYCHA

Do dnia 17 sierpnia b.r. wpłynęły 1284 przedpłaty na powieść Giertycha ze wszystkich pięciu części świata w dużym jednak odsetku z Wielkiej Brytanii. Szczególnie pomyślnym objawem jest, że powieść Giertycha zdobyła sobie wcale spore poparcie także i wśród t.zw. starej emigracji, zwłaszcza w obu Amerykach.

Książka już się drukuje i będzie na półkach księgarskich w listopadzie. Dla ułatwienia szerszym kołom czytelniczym jej nabywania po cenie ulgowej przedpłata została przedłużona aż do terminu ukończenia druku książki. Wynosi ona 15 szylingów (zamiast 30 szylingów ceny księgarskiej). Można ją nadsyłać wprost do autora, 16. Belmont Road, Londyn N.15, lub pod adresami w innych krajach, podanymi w ulotce i prasie miejscowej.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Publication Centre. Adres redakcji i Administracji: **Polish Weekly ŻYCIE, 12 Praed Mews, London W 2.** Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17 — z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. Prenumerata płatna jest z góry i wynosi: miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi „crossed“ wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam £ 1; w tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. Prenumerata zagraniczna: SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: Mgr. Bożysław KUROWSKI. Anggatan 6 c. Lund. Sverige. Sweden. NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM. kwartalnie 7.00 DM. ARGENTYNA: kwartalnie 12 peso półrocznie 24 peso. Przedstawiciel: J. MIECZNIKOWSKI & T. DĄBROWSKI Składnica Książki Polskiej. Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires. SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: PKSU VERITAS, Section Suisse, Case Postale 19, Fribourg 2.

Printed by: „Veritas Foundation Press“